

Elsewhere to be

Creative writing in English, Polish and Scots

Published by the WORD Centre for Creative Writing, University of Aberdeen 2021

Produced in Partnership with the Elphinstone Institute and the Baillies of Bennachie as part of the Enacting the Past: Stories from the Colony to the Tattras Project funded by the Arts and Humanities Research Council.

Edited & Coordinated by John Bolland
Translated by Beata Tschirch

©Copyright of the material is held by the respective writers.

Contents

Dr. Liz Curtis	7
Preface	7
Przedmowa	7
Anne Taylor	10
Teddy Bears, Hot Pants, Platform Shoes and Other Things I've Lost	10
Pluszowe misie, obcisłe spodenki, buty na koturnie i inne rzeczy, które zgubiłam.....	11
Ida Awtuch	12
Kotek w Podróży.....	12
Kitten on the Move	12
Kasia Maicher	13
My Scottish Adventure: Leading creative writing workshops in Aberdeen.....	13
Moja Szkocka Przygoda: Prowadzenie warsztatów kreatywnego pisanie w Aberdeen	14
Pat Woods	17
The Kettle & the Kist	17
Czajnik i skrzynia.	18
Kasia	20
Jaka Jest to Szkocja?.....	20
What is this Scotland Like?	20
Dearbhla Farrell	21
Another Day.....	21
Kolejny dzień.	22
Helen Lynch	23
Elsewhere to be	23
Gdzie indziej być	30
Aga Awtuch	39
Emigracja to Utrata? Cós Jakby Dom.....	39
Is Emigration a loss? Something like a home.....	40
Beata Tschirch	41
Krótki esej o podróżowaniu.	41
A Short Essay on Travelling.	44

John G. Robson	48
A Lost Soul.....	48
Czajnik i skrzynia.....	49
Lorna Davie	51
Those who stay and those who go.	51
Ci, którzy zostają i ci, którzy odchodzą.....	55
John Bolland	60
The Route to Learning.....	60
Droga do poznania.....	61
Esraa Husain	62
Step by Step.....	62
Krok po kroku.....	63
Anne Buckle	65
Objects you've lost	65
Rzeczy, które zgubiłam	66
Author Biographies.....	67
Acknowledgements	69

Preface

The stories in this book are inspired by the lives and experiences of landless families displaced by the effects of agricultural expansion in the early to mid-nineteenth century. Together they reflect on experiences of displacement, loss and recovery, of living on the margins and striving for better things, using the personal experience and imagination of present-day writers to explore the lives of those who made Bennachie their home during this period.

From around 1800, a number of families, unable to afford the rents which landlords imposed, built their homes, crofts and gardens on rent-free common land known as the Commonty on the lower slopes of Bennachie, a key landmark in Garioch and surrounding areas of Aberdeenshire. Their settlement was known in the surrounding area as The Colony and is remembered in the North-East ballad '*The Back o' Bennachie*.'

In 1859, however, local landowners divided the Commonty between the surrounding estates, imposed rents and served evictions on those who could not pay.

Since 2013, the Arts and Humanities Research Council (AHRC) has funded a series of projects to carry out archaeological and archival investigations of the remains of the Colony Settlement and the lives of the families who lived there.

These projects brought together the Bailies of Bennachie, a local community group, with academics from the University of Aberdeen.

In 2018, AHRC funded *Enacting the Past: Stories from the Colony to the Tattas Project*. A year-long programme of creative writing, song making and drama workshops. Drawing on the rich history of the Colony, this project brought new perspectives to the history and archaeology of Bennachie whilst enabling the Bailies to introduce the hill and their work to new audiences.

Creative writer Helen Lynch, co-director of the Aberdeen University's Word Centre and Polish writer Kasia Maicher led writing workshops at Bennachie in which the participants explored the ruins of the Colonists houses and crofts and the experiences of the Colonists. Participants were drawn from the University's Word Centre *Elsewhere to be* project and the Elphinstone Institute's Polish -Scottish Song and Story group.

The diverse range of writing collected here meditates on the things and folk we lose or leave behind, the places we venture to and discover, our sense of home. Each story is published in parallel-translation in Scots or English and Polish.

Liz Curtis, project lead for *Enacting the Past: From the Colony to the Tattas*.

Przedmowa

Historie zawarte w tej książce są inspirowane życiem i doświadczeniami bezrolnych rodzin, które zostały przesiedlone w skutek ekspansji rolniczej na początku pierwszej połowy XIX wieku. Historie te podejmują refleksję nad doświadczeniami wysiedleńców, kwestiami utraty i powrotów, życia na marginesie i dążenia do polepszenia bytu, powstają na bazie osobistych doświadczeń i wyobraźni współczesnych pisarzy, po to aby zbadać życie tych, którzy w tamtym okresie uczynili Bennachie swoim domem.

Od około 1800 roku wiele rodzin, których nie było stać na czynsze narzucone przez właścicieli ziemskich, budowało swoje gospodarstwa i ogrody na nieodpłatnej wspólnej działce zwanej Commonty. Ziemia ta położona jest na niższych zboczach Bennachie, kluczowym punkcie orientacyjnym w Garioch i okolicach z Aberdeenshire. Ich osada była znana w okolicy jako The Colony¹ i jest uwieczniona w balladzie z północno-wschodnich regionów Szkocji *"The Back o' Bennachie"*.

W 1859 roku okoliczni właściciele ziemscy rozdzielili jednak Commonty pomiędzy otaczające ich posiadłości, narzucili czynsze i eksmitowali tych, którzy nie mogli zapłacić.

Począwszy od roku 2013 Arts and Humanities Research Council AHRC² sfinansowała szereg projektów mających na celu prowadzenie badań archeologicznych i archiwalnych, dotyczących pozostałości osadnictwa kolonijnego oraz życia niegdyś zamieszkujących na tych terenach rodzin.

Projekty te połączyły pracę Bailies of Bennachie, lokalną grupę społeczną, oraz naukowców z Uniwersytetu w Aberdeen.

W 2018 roku Rada AHRC sfinansowała projekt *Enacting the Past: Stories from the Colony to the Tattas*³. Jest to całoroczny program warsztatów twórczego pisania, tworzenia pieśni i dramatu. Czerpiąc z bogatej historii kolonii, projekt ten odsłonił nowe perspektywy w historii i archeologii Bennachie, jednocześnie umożliwiając grupie Bailies przedstawienie wzgórza Bennachie oraz zaprezentowanie ich pracy nowym odbiorcom.

Helen Lynch, pisarka i koordynatorka Word Centre przy Uniwersytecie w Aberdeen oraz polska pisarka Kasia Maicher wspólnie przeprowadziły warsztaty pisarskie w Bennachie, podczas których uczestnicy oglądali ruiny domów i zagród osiedleńców oraz zgłębiali wiedzę na temat ich doświadczeń. Uczestników warsztatów wybrano z uniwersyteckiego projektu Word Centre *Elsewhere to be*, z grupy pieśni polsko-szkockiej oraz z grupy opowiadań Instytutu Elphinstone.

Zróznicowany wachlarz zebranych tekstów podejmuje refleksję nad tym, co tracimy lub zostawiamy za sobą w miejscach, do których się zapuszczamy i które odkrywamy, nad naszym poczuciem przynależności. Każde opowiadanie zostało opublikowane w tłumaczeniu równoległym na język szkocki lub angielski oraz polski.

Liz Curtis, kierownik projektu *Enacting the Past: From the Colony to the Tattas*.

¹ Kolonia jako osada grupy ludzi założona na określonym terenie.

² Rada ds. Badań nad Sztuką i Naukami Humanistycznymi

³ Odgrywając Przeszość: Od Kolonii do Tatr

Elsewhere to Be

Anne Taylor

Teddy Bears, Hot Pants, Platform Shoes and Other Things I've Lost

These are the things in life I've lost.

The plastic telephone I'm holding in my one-year-old birthday photo. The teddy bear I carried with me for years; from being a toddler. The utter disbelief, aged seven, when told by my joking neighbour in the trilby hat that French people counted by saying "Un, deux, trois, quatre ..."

My first bike – yellow and red, with no gears – and that moment when my dad shouted "Keep going!" and I realised, with a big wobble, that I'd out-pedalled him for the first time and he wasn't still holding onto the seat to keep me steady.

My favourite OXO patterned red, white, and blue jumper that I lived in for at least two years of my childhood.

The microscopic red hot-pants that I wore aged 12 in 1972. The oh-so-trendy and oh-so-impractical shiny black platform shoes I teetered on, aged 14, along with the microscopic school skirts which were all the rage at the time: much to the annoyance of our headmistress.

"Henry Honda" – my blue and white 70cc motorbike. The speedo didn't work at first; which I found out when my mother and sisters were driving behind me in a little Morris Minor. I was going flat out with the speedo reaching the heady heights of 15 mph, wondering why they weren't keeping up. When we reached home, they told me I was doing at least 45 mph. I got the speedo fixed the next week.

The caravanette which has gained almost mythical status in my memory; hired by my parents for two glorious weeks in 1978 for one of my all-time favourite family holidays touring through Scotland. Six of us slept in the five-berth van with me on the floor under the table which became my parents' double bed.

The fear of spiders and creepy crawlies in general, passed to me by my mother and lost when I lived in what could have been a creepy-crawly zoo of a bedsit at Brig o' Balgownie. It was right next to the river. Every morning for the year I lived there I checked my shoes before I put them on to see if anything was lurking in them; and every night I checked my bed to see what had moved in during the day. Centipedes, spiders, and woodlice were the most common wannabe bedfellows.

My first piano – a compact upright which I adored from the age of seven, that had to go when my parents bought me a full-size piano. It had never occurred to me that we wouldn't have room for both. My first electric keyboard – a life-changing Casio MT68 with four octaves and mini keys that catapulted me into my first ceilidh band – *The Auchterby Band* - in 1985.

“Wanda”, my gas-guzzling ’78 Chevy Caprice Station Wagon, an old but luxurious monster estate car with 5.5 litre engine, which I drove for two glorious years around the USA in 1988 and ‘89. It could accommodate my seven-piece contradance band (*Dr Twamley’s Audio Snakes*) including all the instruments and was replete with happy memories. I imported her to Scotland for two more entertaining years of driving before her demise. Policemen kept pulling me over just to come and have a look at her. I still have her number plate and the engine lived on in someone else’s kit car. Perhaps it still does?

Pluszowe misie, obcisłe spodenki, buty na koturnie i inne rzeczy, które zgubiłam

To są rzeczy, które straciłam w życiu.

Plastikowy telefon, który trzymam na moim jednorocznym zdjęciu urodzinowym. Miś, którego nosiłem przy sobie od najmłodszych lat. Całkowita niewiara w wieku siedmiu lat, w historię opowiadaną przez mojego żartobliwego sąsiada w kapeluszy trillby, że Francuzi licząc mówiąć „Un, deux, trois, quatre ...”

Mój pierwszy rower - żółto-czerwony, bez przerzutek - i ten moment, kiedy tata krzyknął „Jedź dalej!” i wtedy zdałem sobie sprawę, bardzo się na nim chwiejąc, że po raz pierwszy wyprzedziłem tatę, a on nie trzymał już siodełka, żeby mnie prosto utrzymać.

Mój ulubiony czerwono-biało-niebieski sweter w OXO, w którym chodziłam przez co najmniej dwa lata mojego dzieciństwa.

Mikroskopijne czerwone spodenki, które nosiłem w wieku dwunastu lat w 1972 roku. Och, tak modne i tak niepraktyczne, błyszczące czarne buty na koturnie, na których balansowałem w wieku czternastu lat, wraz z mikroskopijnymi szkolnymi spódnicami, szalone jak na tamten czas i ku irytacji naszej dyrektorki.

„Henry Honda” - mój niebiesko-biały motocykl o pojemności siedemdziesięciu centymetrów sześciennych. Początkowo prędkościomierz nie działał; o czym dowiedziałam się, gdy moja mama i siostry jechały za mną małym Morris Minor. Jechałam prosto osiągając prędkość piętnaście mil na godzinę, zastanawiając się, dlaczego za mną nie nadążają. Kiedy dotarliśmy do domu, powiedziały mi, że osiągnęłam co najmniej czterdzieści pięć mil na godzinę. W następnym tygodniu naprawiono prędkościomierz.

Przyczepa, która zyskała w mojej pamięci niemalże mityczny status; wynajęta przez moich rodziców na dwa chwalebne tygodnie w 1978 roku, na jeden z moich ulubionych rodzinnych wyjazdów wakacyjnych po Szkocji. Cała nasza szóstka spała w tym pięcioosobowym kamperze ze mną na podłodze pod stołem, który stał się podwójnym łóżkiem moich rodziców.

Lęk przed pajakami i przerażającymi pełzakami w ogóle, przekazany mi przez matkę i utracony, gdy mieszkalam w przerażającym zoo w kawalerce przy moście o'Balgownie. To było tuż obok rzeki. Każdego ranka przez rok, w którym tam mieszkalam, sprawdzałam buty, zanim je założyłam, aby zobaczyć, czy coś w nich się nie czai: a każdej nocy sprawdzałam łóżko, żeby zobaczyć, co się wprowadziło w ciągu dnia. Skolopendry, pająki i stonogi były moimi najczęstszymi towarzyszami.

Moje pierwsze pianino - kompaktowe, uwielbiałem je od siódmego roku życia, potem musiało zniknąć, gdy rodzice kupili mi pełnowymiarowy fortepian. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie będziemy mieli miejsca dla nich obu.

Moje pierwsze elektryczne organy - zmieniające życie Casio MT68 z czterema oktavami i mini klawiszami, które katapultowały mnie do mojego pierwszego zespołu ceilidh - *The Auchterby Band* - w 1985 roku.

„Wanda”, mój paliwożerny Chevy Caprice Kombi z 1978 roku, stary, ale luksusowy samochód typu monster truck z silnikiem o pojemności pięć i pół litra, którym jeździłem przez dwa wspaniałe lata w 1988 i 1989 po Stanach Zjednoczonych.

Samochód był w stanie pomieścić mój siedmioosobowy zespół kontradans (Dr Twamley's Audio Snakes), wszystkie instrumenty i pełno szczęśliwych wspomnień. Sprowadziłem go do Szkocji na dwa kolejne zabawne lata jazdy zanim się całkowicie popsuł. Policjanci ciągle mnie zatrzymywali, aby się mu przyjrzeć. Wciąż mam tablicę rejestracyjną, a silnik mieszka już w cudzym samochodzie. Być może jeszcze działa?

Anne Taylor

Kotek w Podróży

Kotek leżał sobie na asfalcie i powiedział: „Mam dość tego zimna!” A potem wpadł na pomysł, że pojedzie na wakacje do swojej dziewczyny, która lubi czekoladę i cynamon. Poszedł więc spakować cynamon i pudełko czekoladek, a dla siebie spakował śrubokręt do obgryzania. Drugiego dnia wsiadł do autokaru i odjechał.

Kitten on the Move

A kitten lay on the asphalt and said: "I'm sick of this cold!" And then he came up with the idea of going on holidays to his girlfriend who likes chocolate and cinnamon. And so, he went to pack some cinnamon and a box of chocolates and, for himself, a screwdriver to chew. The next day he got on the bus and left.

Kasia Maicher

My Scottish Adventure: Leading creative writing workshops in Aberdeen

When I first visited Scotland in 2001, it felt like coming back home. Strange as it may seem, I've always felt more at home here than in Poland. Perhaps it's the immediate closeness of the sea, the fact that water surrounds the island. Wild nature, variety of landscapes, wind, and salt in the air... In 2001 we toured Scotland with a group of students, camped with midges, saw many old castles, and tasted whisky. We travelled by coach from Edinburgh via Glasgow to Glencoe, Inverness, and Skye, hiked in the Highlands, and admired Loch Lomond. I spent all my money on books and postcards and hardly ate anything except canned food and cheap cookies from Tesco. But I fell totally in love with Scotland. It was a place of freedom and ethereal beauty. I dreamed of coming back here.

In 2007, I managed to do it. It was my longest stay in Scotland. I worked for a month in Mallaig on the West Coast and went for a 2-day excursion to Skye. I would have stayed and worked here and, perhaps, become a long-time settler if I hadn't got an exciting job in Poland.

Ten years passed. Then I received an unexpected birthday present from my Polish friend living in Aberdeen: a return ticket to Scotland. Why shouldn't I accept it?

It was an anniversary visit – mountain trips, friends, and a creativity workshop run at the university. In 2017, I was lucky enough to come to Scotland three times: in March, June, and late October. The two other visits were thanks to Helen Lynch and Elizabeth Curtis from University of Aberdeen, who invited me to take part in their Polish-Scottish project.

Thus, I had the privilege of observing the first signs of spring in Aberdeen and late snow in the Cairngorms; then luxuriate in the flowery outburst of early summer and experience the leafy loveliness of autumn. I went on trips to the seaside and the mountains, made new friends and led creative writing workshops for a Polish group in an educational project at the University of Aberdeen. And every time I came back here, it felt like home.

I've never been an emigrant. Although I travel quite a lot, I've always lived in one city in south-western Poland.

During *Enacting the Past: from the Colony to the Tatras* project, I met several Polish people who decided to stay and live in Scotland. It was truly touching to listen to their personal stories and to inspire them to write down their experiences. We went on a trip to Bennachie, where we had our first workshops in June 2017. Liz Curtis took us for a walk to the ruins of houses and told us stories about the farmers who used to live there over a hundred years ago. This walk and further creative exercises incited the participants to write about their experiences of taking roots somewhere else than home.

What is home, anyway? It's most often something we carry within us.

I remember one exercise when I asked the participants to tell imaginary stories about real people on the photos they brought for the workshops. Helen Lynch from the University of Aberdeen joined us with her picture and family story. We were also talking and writing about reasons for emigration, and discussed travels made by our ancestors.

During the second workshop, in October, we had a lovely lunch break in the Botanical Gardens, where we noted poems and other impressions, opening up our senses. This time, I brought a handful of texts by professional writers, passages about journeys, changing places, searching for identity, and living in another country. These became starting points for a variety of exercises involving writing short texts, personal stories, tiny memoirs, and travel journals. The participants also explored their first memories of coming to Scotland. What was surprising? What was strange or different from home? What did they notice, smell, touch, find out? How did they become friends with a new space?

I was glad that the participants were willing to share a few of these stories and writing exercises. At the end of the workshop we had a nice gathering with the Scottish group; who had creative writing workshops with Helen Lynch. It would be great to continue this project as a common experience for both Polish and Scottish people, as it turns out that Poles and Scots have an amazing history of living together. I do hope there will be more projects like this one, where we could explore the past stories of our predecessors and family tales.

Kasia Maicher

Moja Szkocka Przygoda: Prowadzenie warsztatów kreatywnego pisania w Aberdeen.

Kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Szkocję w 2001 roku, poczułem jakbym wracała do domu. Choć może wydawać się to dziwne, zawsze czułem się tu bardziej w domu niż w Polsce. Być może to właśnie bliskość morza, fakt, że woda otacza wyspę. Dzika przyroda, różnorodność krajobrazów, wiatr i sól w powietrzu... W 2001 roku zwiedzaliśmy Szkocję z grupą studentów, biwakowaliśmy z gryzącymi muszkami, widzieliśmy wiele starych zamków, próbowaliśmy whisky. Podróżowaliśmy autokarem z Edynburga przez Glasgow do Glencoe, Inverness i Skye, wędrowaliśmy po Highlandach i podziwialiśmy Loch Lomond. Wydałem wszystkie moje pieniądze na książki i pocztówki i prawie nic nie jadłam oprócz puszek i tanich ciasteczek z Tesco. Całkowicie zakochałem się w Szkocji. To było miejsce wolności i niezmiernie piękna. Marzyłam o tym, by tu wrócić.

W 2007 roku, udało mi się to zrobić. To był mój najdłuższy pobyt w Szkocji. Pracowałem przez miesiąc w Mallaig na Zachodnim Wybrzeżu i pojechałem na dwu dniową wycieczkę do Skye. Gdybym nie miała ekscytującej pracy w Polsce, zostałabym i pracowałabym tu, stając się być może długoletnią mieszkanką.

Minęło dziesięć lat. Potem otrzymałem niespodziewany prezent urodzinowy od mojej polskiej przyjaciółki w Aberdeen: bilet powrotny do Szkocji. Dlaczego nie miałabym go przyjąć?

To była jubileuszowa wizyta - wycieczki górskie, przyjaciele i warsztaty twórcze prowadzone na uniwersytecie. W 2017 roku miałem szczęście przyjechać do Szkocji trzy razy: w marcu, czerwcu i pod koniec października. Dwie pozostałe wizyty odbyły się dzięki Helen Lynch i Elizabeth Curtis z Uniwersytetu w Aberdeen, które zaprosiły mnie do udziału w ich polsko-szkockim projekcie.

W ten sposób miałem zaszczyt obserwować pierwsze oznaki wiosny w Aberdeen i późny śnieg w Cairngorms; potem bujać się w kwiecistym rozkwicie wczesnego lata i doświadczać liściastego piękna jesieni. Pojechałam na wycieczki nad morze i w góry, poznałam nowych przyjaciół i poprowadziłam warsztaty kreatywnego pisania dla polskiej grupy w ramach projektu edukacyjnego na Uniwersytecie w Aberdeen. I za każdym razem, gdy tu wracałam, czułam się jak w domu.

Nigdy nie byłam emigrantką. Chociaż dużo podróżuję, zawsze mieszkałam w jednym mieście w południowo-zachodniej Polsce.

Podczas projektu *Odgrywając Przeszość: Od Kolonii do Tatr*, spotkałem kilku Polaków, którzy zdecydowali się zostać i zamieszkać w Szkocji. Naprawdę wzruszającym było wysłuchiwanie osobistych historii i zainspirowanie ich do spisania swoich doświadczeń. Wybraliśmy się na wycieczkę do Bennachie, gdzie w czerwcu 2017 roku mieliśmy pierwsze warsztaty. Liz Curtis zabrała nas na spacer do ruin domów i opowiedziała nam historie o rolnikach, którzy mieszkali tam ponad sto lat temu. Ten spacer i dalsze twórcze ćwiczenia zachęciły uczestników do napisania o swoich doświadczeniach zakorzenienia się w innym miejscu niż dom.

Czym właściwie jest dom? Najczęściej jest to coś, co w sobie nosimy.

Pamiętam jedno ćwiczenie, w którym poprosiłam uczestników o opowiedzenie wymyślonych historii o rzeczywistych osobach na zdjęciach, które przynieśli na warsztaty. Helen Lynch z Uniwersytetu w Aberdeen dołączyła do nas ze swoim zdjęciem i historią rodzinną. Rozmawialiśmy i pisaliśmy także o przyczynach emigracji, dyskutowaliśmy o podróżach naszych przodków.

Podczas drugiego warsztatu w październiku mieliśmy wspaniałą przerwę obiadową w Ogrodach Botanicznych, gdzie pisaliśmy wiersze i inne wrażenia, otwierając się na nasze zmysły.

Tym razem przywiozłam garść tekstów profesjonalnych pisarzy, fragmenty o podróżach, zmianie miejsca, poszukiwaniu tożsamości i życiu w innym kraju.

Stały się one punktem wyjścia do stworzenia różnorodnych ćwiczeń polegających na pisaniu krótkich tekstów, opowiadań osobistych, małych pamiętników i dzienników podróżniczych. Uczestnicy zgłębiali także swoje pierwsze wspomnienia z przyjazdu do Szkocji. Co było zaskakujące? Co było dziwne lub różniło się od domu? Co zauważyli, wąchali, dotknęli, czego się dowiedzieli? Jak zaprzyjaźnili się z nową przestrzenią?

Cieszyłem się, że uczestnicy chętnie podzielili się kilkoma z tych historii i ćwiczeniami z pisania. Na koniec warsztatów mieliśmy miłe spotkanie z grupą szkocką; którzy mieli warsztaty kreatywnego pisania z Helen Lynch. Byłoby wspaniale kontynuować ten projekt jako wspólne doświadczenie zarówno Polaków jak i Szkotów, ponieważ okazuje się, że Polacy i Szkoci mają niesamowitą historię wspólnego obcowania. Mam nadzieję, że takich projektów jak ten będzie więcej, w których będziemy mogli zgłębić historie naszych przodków i opowieści rodzinne.

Kasia Maicher

Pat Woods

The Kettle & the Kist

Da niver did ging back and get thon kist that must hae faed aff the barra fan we left helter-skelter doon the hill yon day. We wir aa sae upset at haen tae leave. Da promised he wid ging back later fan there wis daylight. Bit it wis sic a lang trail tae Inverurie - tae Auntie Jeanie's and her folks - he jist couldna face gaen back tae find it. He wis broken herted at haen tae abandon oor wee hoose and piece o grun.

Thon first nicht, we knew we'd hae tae sleep rough. Och, there wis an affa snell wind but lucky nae rain. We cooried roon the fire Da got lichted and looked forward to gettin' a wee haight drink afore we settled oorselves on the heather aneath the stars...but Ma couldna find the aal black kettle in the barra. It maist hev bin pit in the kist. Fancy pittin' a kettle in a kist? Bit we'd bin at sixes and sevens aa day. We left in sic a haste aathing wis shoved onywey there wis ony space. Da gathered us roon the fire...sae at least we would hae a

reading fae the femly bible bit naebody could find it either. Efter searching high and low, it wis decided it must hiv gaen the wey o the kettle and the kist. Sae aa nicht we slept wi niver a haight drink or a bible verse to warm oor herts.

Aye, it wis a sair trachle intae Inverurie. Jeannie'd been merried tae oor uncle Alf and stayed wi us for a time fan Alec wis a wee bairn. Alf had jined up though and wis posted awa in India, but ivery so often he would write hame, affa newsy letters, aboot his adventures. Jeannie couldnae read; so Ma would read them oot loud - she wis affa cliver like aat; so we would aa hear aa aboot India; it wis hot and sweaty ower there and food wis cooked wi aa sorts o exotic spices. But then the letters stopped and it wis some time later before we found oot Alf hid bin killed in action. Auntie Jeannie wis sair daft wi grief for a time. Jist as weel she hid her loon Alec.

Da couldna bring himsel tae set foot on thon hill agin. Bit Auntie Jeanie sent Alec tae see if he could find the kist. Think she wis hoping aat some o Alf's letters micht be in it. But Alec sa nae sign o ony kist though he searched aa wey. He thoct somebody must hae snaffled it. Aye, so he didnae bring back the kist but he brought back affa sair news. Thon deil o a laird fad threatened Da hid burnt oor wee cotter-hoosie tae the grun and the land besides. Jist as weel we'd left fan we did. We wir aa fair distraught at the very thoct o it. Niver seen Da sae angry.

Grunnie Bell wis fair scunnert aboot nae finding the kist for, ravelled though she wis, she minded pitting her best Sunday sheen in it. She plain widnae darken the kirk's door in Inverurie in her orra bachel's: which meant she didnae ging tae kirk for weel ower a year efter aat.

She wisnae the only een scunnert though. Ma maist hiv pit my only bonnie Sunday frock in thon kist and wee bairnie Stewart's swaddling clothes gone anaa. Ma wis fair broken herted ower aat; it wis the only reminder o his wee life afore pneumonia wheechd him aff at 13 weeks aal. Lucky though, maist o oor femly claes wir in the ither chest amang some blankets.

Hetty wis bereft though for aa her drawings hid been in thon kist. Oor Hetty hid squirrelled awa ony drawing on ony scrap o paper. Her Parish teacher, Miss Thompson, hid encouraged her fae a young age by gein her paper and pencil. I myn her spikin tae Da and Ma at Kirk een Sunday aboot Hetty's 'God-given gift,' as Miss Thompson caad it. But God given or nae, Hetty, as the eldest, wis needed to help wi the bairns, efter aa there wis seven o us including the twins and there wis aawys work tae be daein on aat croft.

Aye, we aye myn leaving aat day in oor own wey. Da winnae spik o it ataa and Ma neither. Life wis tae be niver the same agin. It wis little enough we managed tae fling in thon barra as we escaped doon the hill. Didna suppose fit we lost in the kist thon nicht wis much in maist folks een. But in one wey or anither it might hae helped us myn on oor hame on the hill. Aye, oor memories seem to hiv gone the wey o the kettle and the kist.

I cannae help wondering fa found it.

Pat Woods

Czajnik i skrzynia.

Tata nigdy nie wrócił i nie znalazł skrzyni, która musiała spaść z taczki, kiedy tamtego dnia uciekaliśmy w popłochu w dół wzgórza. Wszyscy byliśmy zrozpaczeni, że musimy wyjechać. Tata obiecał, że wróci tam później za dnia. Jednak droga do Inveruire - do cioci Jeanie i jej rodziny - była na tyle długa, że nie zdecydował się na jazdę z powrotem. Miał złamane serce opuszczając nasz mały dom i kawałek ziemi.

Tej pierwszej nocy, wiedzieliśmy, że będziemy spać bez dachu nad głową. Och, wiało zimnym wiatrem, ale na szczęście nie padało. Tuliliśmy się dookoła ognia, który rozpalili tata i z niecierpliwością czekaliśmy na trochę gorącego picia zanim usadowimy się na wrzosowisku pod gwiazdami... ale mama nie mogła znaleźć starego czajnika na taczce. Musiał zostać w skrzyni. Kto by umieścił czajnik w skrzyni. Lecz biegaliśmy tak zaplątani tego dnia. Wyjeżdżaliśmy w takim pośpiechu, że rzeczy były wpychane, gdzie popadnie, tam, gdzie było trochę miejsca. Tata zebrał nas wokół ogniska, żeby przynajmniej przeczytać coś z biblii, ale jej także nie mogliśmy znaleźć. Po tym jak przeszukaliśmy wszystkie kąty stwierdziliśmy, że musiała zniknąć razem z czajnikiem i skrzynią. Tak więc całą noc spaliliśmy bez gorącego napoju ani wersetu biblijnego, który mógłby rozgrzać nasze serca.

Tak, to była ciężka podróż do Inverurie. Jeannie wyszła za męża za naszego wuja Alfa i została z nami przez pewien czas, kiedy Alec był małym dzieckiem. Alf przyłączył się jednak do nas i został wysłany do Indii, ale co jakiś czas pisał do domu, bardzo plotkarskie listy, o swoich przygodach. Jeannie nie umiała czytać, więc mama czytała je na głos – była bardzo sprytna, a więc wszyscy usłyszeliśmy o Indiach, że tam było tam gorąco i duszno, a jedzenie przyrządzano z różnymi egzotycznymi przyprawami. Jednak potem listy przestały przychodzić i jakiś czas później dowiedzieliśmy się, że Alf został zabity w czasie służby. W tym samym czasie Jeannie urodziła chłopca, Aleca.

Tata nie mógł się zmusić, aby ponownie postawić odwiedzić te wzgórza. Ciocia Jeanie wysłała Aleca, żeby sprawdził, czy uda mu się znaleźć skrzynię. Chyba miała nadzieję, że znajdą się w nim jakieś listy Alf'a. Po skrzyni jednak nie było śladu chociaż Alec szukał wszędzie. Pomyślał, że ktoś musiał go ukraść. Skrzyni nie przywiózł, ale przyniósł bardzo złe wieści. Ten diabelny właściciel, który groził tacie, spalił nasz mały domek doszczętnie razem z ziemią dookoła. Słyszac to byliśmy druzgotani. Nigdy nie widziałam ojca tak wściekłego.

Babcia Bell była oburzona, że nie znaleziono skrzyni, choć była otępiała, pamiętała, że wkładała do niego swoje najlepsze buty niedzielne. Nie mogła przecież pokazać się w kaplicy w Inveruire w swoich zwykłych butach: nie mogła później pójść do kościoła przez ponad dobry rok.

Nie tylko ona była wkurzona. Mama musiała włożyć moją jedyną niedzielą sukienkę do tej skrzyni, zniknęły też ubranka małego Stewarta. Mama miała złamane serce; to była jedyna pamiątka po jego krótkim życiu, zanim zapalenie płuc zabrało go w wieku trzynastu tygodni. Na całe szczęście większość naszych ubrań znajdowała się w drugiej skrzyni pomiędzy kocami.

Hetty była załamana, ponieważ wszystkie jej rysunki znajdowały się w skrzyni. Chowała każdy rysunek nakreślony na dowolnym skrawku papieru. Jej nauczycielka z parafii, panna Thompson, zachęcała ją do rysowania od najmłodszych lat, dając jej papier i ołówki. Pamiętam, jak pewnej niedzieli rozmawiała z tatą i mamą w kościele o „darze od Boga”, jak nazwała go panna Thompson. Jednak czy Bóg dał dar Hetty czy nie jako najstarsza, była potrzebna do pomocy przy dzieciach, w końcu było nas siedmioro, w tym bliźniaki, i zawsze było coś do zrobienia w gospodarstwie.

Tak, zawsze będziemy pamiętać, jak opuszczaliśmy dom tego dnia, każdy na swój własny sposób. Tata w ogóle by o tym nie mówił. I mama też nie. Życie już nigdy nie było takie same. Dobrze, że przynajmniej zdołaliśmy wskoczyć do tej taczki uciekając w dół wzgórza. Przypuszczam, że to, co straciliśmy w bagażniku tamtej nocy, nie było wiele warte w oczach większości ludzi. Jednak w taki czy inny sposób, pomogło nam to pamiętać nasz dom na wzgórzu.

Tak, wydaje się, że nasze wspomnienia odeszły razem z tamtym czajnikiem i skrzynią.

Wciąż się zastanawiam, kto je znalazł.

Pat Woods

Kasia

Jaka Jest to Szkocja?

„Jaka jest ta Szkocja?” – zastanawiałam się, siedząc na lotnisku w Krakowie. Potem lot, opowieści dziewczyny z fotela obok, jadącej do Wielkiej Brytanii, by dołączyć do mieszkającego tam już jakiś czas chłopaka. Edynburg – przejrzyste powietrze i błękitne niebo – jakże inaczej w porównaniu do zaśnieżonej Polski. Potem długa podróż do Aberdeen. Noc, a rano pierwsze spotkanie z błyszczącym od promieni słońca, szarym miastem.

What is this Scotland Like?

"What is this Scotland like?" I wondered, sitting at the Krakow airport. Then the flight, the stories of the girl from the seat next to me who was going to the Great Britain to join the boyfriend who had been living there for some time. Edinburgh - clear air and blue sky - so different in comparison to snowy Poland. Then a long journey to Aberdeen. Night and, in the morning, the first meeting with the glistening in the rays of the sun grey city.

Dearbhla Farrell

Another Day

The light moves between the buildings up at Seaton. I pull up to take a video on my phone on my way home from Lidl. It's that low, golden-glow sun that makes you think of the word 'equinox'. You could draw a sphere, a line, and a graph - but why bother?

The X passes through those things you built-up high - going vertical to place yourself somewhere.

I'm waiting with my bicycle at the pedestrian crossing.

Watching people in their cars taking that turn to go over the Bridge of Don, reminded me of going on the bumping cars at Leisureland in Galway when we were small. I look in the car windows to pay attention to the people driving. I do this on purpose. I wonder how each driver feels behind the wheel. Do they enjoy taking that turn I wonder?

I liked taking corners when I was driving with David. He was a good instructor - instructor number two he was - there have been four so far and I'm still on a provisional.

The man waiting at the traffic lights next to me has a helmet on. We've been waiting for ages for the lights to turn.

"You don't see any shit cars in Aberdeen do you?" I start.

He responds, emphatically, "Oh no, you do not no. Not around here"

The lights change and we push off in different directions.

My feet make the pedals go round. I'm pushing up that small, slow, steady hill - up to where I can see the ships again. Sweat has formed on my back and I can smell my own sweat through the heavy jacket I'm shrouded in. I'll have to wash it.

I see the light hit a red ship today and I change my mind, just as the way the light bounced across the cars changed my mind: a photo won't capture it well at all.

It reminds me of Stonehenge, even though I've never been there. But I did see the light move that way in New York once. We tried to get into the middle of the road; it was the one day in New York that the cars didn't try to murder you. I wanted video. I wanted to be able to hear the sound of it again. The way the light bounced off the cars was beautiful.

Our modern life is not rubbish because we are in it. Those ships out at sea are working hard for us to move in these ways but I'm not a part of that: I'm on my bike.

Lies. I want a car. I want to go faster and further but I'm scared of driving.

Dearbhla Farrell

Kolejny dzień.

Przeraźliwy krzyk dobiegł z tyłu. Pobiegł z powrotem do Światła przemieszcza się między budynkami w Seaton. W drodze do domu z Lidla zatrzymuję się, żeby nagrać film na telefonie. To te niskie, złocisto świecące słońce, które przywodzi ci na myśl słowo „równonoc”. Możesz narysować kulę, linię i wykres - tylko po co?

X przechodzi przez te rzeczy, które zbudowałeś wysoko - idąc pionowo, by gdzieś cię osadzić.

Czekam z rowerem na przejściu dla pieszych.

Obserwując ludzi w swoich samochodach, skręcających aby przedostać się na Bridge of Don, przypominam sobie o wyprawach na gokarty w Leisureland w Galway, gdy byliśmy mali. Zaglądam przez szyby samochodów, aby przyjrzeć się prowadzącym. Zastanawia mnie, jak każdy kierowca czuje się za kierownicą. Czy podoba im się ten zakręt?

Lubiłam pokonywać zakręty, kiedy jeździłam z Davidem. Był dobrym instruktorem - był instruktorem numer dwa - do tej pory było ich czterech, a ja nadal jestem na prowizorze prawa jazdy.

Mężczyzna czekający na świetłach obok mnie ma na sobie kask. Czekamy wiekami, aż zmienia się światła.

„Nie widzi się żadnych głównianych samochodów w Aberdeen, prawda?” Zaczynam.

Odpowiada stanowczo: "O nie, nie widać. Nie tutaj."

Światła się zmieniają, a my ruszamy w różnych kierunkach.

Moje stopy wprawiają pedały w ruch. Wspinam się na to małe, powolne, stabilne wzgórze - aż do miejsca, w którym znów widzę statki. Pot zebrał się na moich plecach i przez ciężką kurtkę, w którą jestem owinięta, czuję swój własny zapach. Będę musiała ją wyprać.

Widzę, że światło pada dziś na czerwony statek i zmieniam zdanie, teraz, tak jak wtedy, gdy zobaczyłam odbijające się od samochodów światło, zdaje sobie sprawę, że zdjęcie dobrze tego nie uchwyci.

Przypomina mi się Stonehenge, chociaż nigdy tam nie byłam. Jednak kiedyś widziałem, jak światło porusza się w ten sposób w Nowym Jorku.

Próbowaliśmy dostać się na środek jezdni; to był ten jeden dzień w Nowym Jorku, kiedy samochody nie próbowały cię pozabijać. Chciałam nagrać film. Chciałam znowu móc odsłuchać ten dźwięk. Światło odbijało się od samochodów przepięknie.

Nasze współczesne życie nie jest bzdurą, bo w nim żyjemy. Te statki na morzu ciężko dla nas pracują, żebyśmy mogli się potem w ten sposób poruszać, ale ja nie jestem tego częścią: siedzę na rowerze.

Bzdura. Chcę mieć samochód. Chcę jeździć szybciej i dalej, ale boję się prowadzić.

Dearbhla Farrell

Elsewhere to be

It's July so it's raining. Awful hard. Been dinging it down since the back of four this afternoon. Now the streetlights and neon elongate and flow past my eyes, jolted open against the hard bus window. My head bumps against the rim of the window. My folded headscarf has dropped down beside my elbow which grinds against the worn material of the arm rest. Al-Shifa Street. I see the tower blocks of the Coptic hospital up ahead as we stop at the traffic lights. More melted red, then green, dissolves into the blurry mirk, making me blink; lozenges of orange and yellow and turquoise outside the hotels distorted by the jittering raindrops on the pane.

I used to sleep better when I could feel her weight against my arm, even when it went numb. Although I'm glad, now, that she at least has a bed at night.

We only used to have to do this together in the early days. Then I used to feel, even above the old fear and despair, the glimpses of places neither of us wanted to remember, the brooding triumph, that I had protected her. That sense, and my exhaustion, used to send me off at least some of the time. Then, the dusty sand on the window crusted in archipelagos between dry rivulets of old rain.

The exhaustion is different now. Now, thank god, she is with Asima and the others.

The six heads I can see above the head-rests ahead of me on the bus roll gently from side to side. Everyone is sleeping or trying to sleep. These are mostly workers from the ceramics factory on their way home. The bus will turn around and go back to the factory once we have passed the bus station: picking up people for the next shift. And so on, for almost the whole night. By the time it stops, before the dawn, and the driver gets off, looking over to be sure I am awake and leaving the door open while he has a smoke, I will have had all the sleep I'm going to get for tonight.

The drivers on this route know me and the one or two others of my type who sometimes join us. They are kind and don't demand anything in return for their kindness; not money, not anything. They remember Talida and sometimes they ask: how is the little one? It isn't her real name but it's better that a name and my daughter are not traceable to one another. I will find a quiet corner at the back of the bus station, oil my hair and wind my tarha around my head, tucking the end under my chin.

There are circumstances in which I leave it off. It's often best that people assume we are Coptic, though our faces don't fit and our accents are wrong. In the beginning, the auburn colour of Talida's hair helped us create this impression. People speak to us slowly but more often look past us as though we are not there, which we have learned to encourage. Copts assume we are from the countryside – which is not far wrong after all. The problem of our skin, even under long sleeves and in all the dust and the dirt which streaks our faces and arms much of the time, does not go away. It's best to have been forgotten before anyone has even thought to ask.

Today, though, I have an appointment and will not have time to go to Um Badda Street before I need to stand in the queue for the Bureau. I will definitely find somewhere to wipe my hands and oil my hair again properly. Zarifa will have some idea about when the next stage of the appeal will begin. Or maybe she won't. I am not sure if I trust Zarifa. I liked Khaled. I was used to Khaled. He made a little sketch of Talida once, on the back of a form, and gave it to me.

Talida won't be cut. I was cut. My two sisters were cut and one of them died. A local man used to do it and the women used to hold the girls. Nowadays, they go to a clinic in Inverurie or one of the bigger cities. In our village you can't be married otherwise. No one will marry you.

"A girl like that is useless." That's what Ewan said, though he loved her and loved me and he did not hurry. He had meningitis and he died. His brother said he would marry me and I knew then it would happen: so we ran. I took some money I knew about that Ewan had hidden in the house. Stuart came after us as far as Aberdeen but we had paid some people and we were already gone. The first part, just the driver and the two of us in the van, was quite couthy. Talida still dreams about the final boat-journey sometimes. She won't look at anything about it on Facebook. Luckily her friends in the shelter prefer Instagram.

It was Khaled who arranged that we could go to the charitable shelter in Um Badda Street when our claim was refused. He wasn't supposed to. Everything is meant to stop at that point. Food vouchers, places to stay, access to the doctors, medicine.

It stopped raining about five in the morning. The cracked pavements at the bus station are steaming even though the sun is barely up. Maybe, if I walk awful fast, I have time to nip over to Um Badda Street to see Talida and get back before the Bureau opens after all. There's a wee sandy-brown bird on the telegraph wire that loops above the roof of the bus garage. I don't know what kind it is. Another one swoops above it, turns and lands beside the first. The first Spring we were in Khartoum, we saw dozens of black and white birds crammed together on the wires above our heads. Talida was fair tricket at the sight. I could coax her off the bus, stumbling half asleep, with the promise of them. I told her they were house martins, like the pair that nested every year in our old washhouse. Day after day they gathered on the wires, then they were gone. To think that such tiny birds fly all the way here from there and back again, over and over. Even the young ones who have never done it before and don't know where they are going or why. Thousands of miles across the sea.

Just sometimes I see the blue of the metal bulkhead, a grimy blue with patches of rust around the rivets. We were lucky. Our boat was overcrowded and old, but it was a proper boat. Somehow I don't see the people in this picture, even though there were so many. We were below most of the time, but when we climbed the steps onto the decks, my arms were around Talida's waist holding the rope rail in case she fell backwards; all I could see above her head an impossible brightness of sky, hurting my eyes. There were people pressed behind me, and many people crouched on the deck, but the top of the steps was clear. I steadied myself as we turned.

Only once, waking on the bus, I saw the eyes of the pregnant lady when she looked across at me; the three people lying down while others cried out for water for them. A woman, a teenage boy and a man in loose black trousers. I remember his trousers because his feet looked turned the wrong way as he lay there. The floor below decks was painted rust red and always wet, the salt-water pooling a little, murky with engine oil and always slippery.

There were lots of teenage boys from the poorer places down South. ‘They will be alright,’ I thought, ‘they are young and strong.’ But many of them, it turned out, could not swim. We grew up swimming in the burn. Even Talida stood a better chance than them.

We were lucky. I keep saying it. Our boat was picked up by the coastguard as the smugglers predicted. We had only drifted two days. We did not need to swim.

I have tried to get Talida to tell me about her dreams but she does not want to say. I know she dreams about the camp sometimes because she mutters about it in her sleep. The people who talked to themselves and sometimes cried out, screaming that they would rather die now, while the guards laughed at them. Or the grown people who wet their beds and had to carry the sheets out before us all. She was more afraid of those people, I think, than of the guards; of what it meant that grown-ups could be like that. It was not called a detention camp but a Centre or a Facility. I never picked up enough Libyan to really know the difference. Talida corrects me as a way to change the subject. I don’t want to make her remember when she is awake if she doesn’t want to. There were other children there, a whole gang of them, all ages, and they played together in the Yard or in the Big Room. I hoped, then, that it would not be for too long and persuaded myself that she was happy, as a child is, with some friends and her mother, regular food (even some she didn’t declare to be mingin): a life of boundaries and routine. I hoped she would forget the boat, but it is the Facility that troubles her nights almost as much anyway.

It isn’t what we expect. Not life nor the things in it that won’t leave us. I know that now. Often when I see these moments of time, when my whole body was so filled up with fear for me, for her, I see them without any sound, like a silent film. Other times I hear only the sound, the noise the people made when they saw the boats they had paid for. They took us in dinghies out to the bigger boat, but even though we could see it, we were afraid: we feared they were lying. We knew many went to sea in such rubber boats. Sometimes I hear it without any picture at all, somewhere between a creak and a moan, an exhalation that can only be made by a group of people at once: like a voice coming from one collective person. The three men waded into the water after us, driving us into the dinghies, hitting us with their long sticks, but all I hear is ‘Entra, entra’. The two men behind them waving their guns in the air, I can make myself see them - but one day, on a perfectly busy street, I simply hear them shouting, “Entra, o voi uccidiamo,” above the pounding of the traffic and the call of the street vendors: my chest is tight and it does not matter that I know they are not there.

There isn’t time to get to Um Badda – I know fine well there isn’t. The queues will form at the Bureau long before it opens: if I’m not inside the building and have not taken a ticket by the time my number is called, no one will come out to see if I’m still in the queue that

snakes around the corner from the gates. Talida is probably still asleep anyway. She was up late last night; and she doesn't always sleep well, even now, Asima says.

Before I left yesterday evening, we quarrelled, Talida and I, an argument out of nowhere over nothing. There will be more time later.

I walk behind Zarifa's navy-suited back, weaving past the desks in the open-plan office towards one of the airless booths. From behind, she resembles an air hostess. She is the flight attendant and I am her travel case that she wheels along with such brisk skill. She has a compact tarha, at once neat and casual, that functions as a head covering while still framing her glossy, tied-back hair. A silky affair in tangerine, red and gold. It is the way it is knotted at her throat rather than tucked or pinned that reinforces the impression. I've never been on a plane but I've seen the adverts.

From behind, I almost like her. The city women here are so free. It is in their walk, the purposeful way they greet other people: curt and business-like for some, friendlier for others. The case-workers never conduct the interviews at their own desks in the office. We might make a scene. We might cry. I think it is because they do not want the dirt of what we are, what we make them do to us, to be in their clean, airy space, where they eat tamiya with their hibiscus tea in paper cups during lunch-breaks, send snapchat photos from their weekend to their friends.

Although Zarifa holds open the door and comes into the booth after I do, she is quicker to sit down, turning the PC screen towards her. It moves gracefully, like a sunflower following the sun. In front of her is a large ring-binder. Maybe she has already read it because she does not open it while I am there.

Zarifa says that she has heard nothing about the progress of our appeal application, whether it has even been accepted for progression. It is not an appeal anyway, she corrects me, but an application for a review. This is an administrative matter, not a legal one: do I understand that? I can, however, appeal against the withdrawal of asylum support while I await deportation. I flinch at the word 'deportation' but she does not explain to me again that this is a technical term: it does not mean I will definitely be deported. It just sounds like it. I have to tell this to myself in order to believe it is as Khaled explained it.

She asks me a few questions, most of which I have answered before. She taps on her keyboard with long, peach-coloured nails. She does not ask me where we are sleeping or what we have to eat. When I sound as though I may stray into this territory in answering her questions, she changes the subject. Mostly this involves telling me what I may not do. The country guidance notes used in my case cannot be challenged because they are not out of date or inaccurate even if they refer to the whole country and not the part I am from. I have no grounds to claim that the wrong test was used for determining whether I have a creditable fear of persecution in my original case or my appeal. That is 'not her brief', she says, more than once: but I know she means that it is not her responsibility. Zarifa is annoyed because I am taking up her time and she cannot solve things for me. In

a way, therefore, she blames me and wishes I was not in front of her.

I don't know how people can be so heartless, but we are not like them. I can barely remember what it might mean to be a person like one of these. They would never be in our position. They know it. Perhaps they have become heartless because otherwise their job would be impossible. Khaled did not seem heartless but he is gone. Maybe he is not doing the job anymore.

I used to be a person whom others greeted with warmth. In Inverurie, when I started as a receptionist at the big new Health Centre, I had an office not unlike this one, or part of one anyway. The plants were a wee bit different and mine had no air-conditioning. I answered the phone and made plans, said I'd 'see what I could do' and booked the callers in for the most convenient times. Then I began my new training. The year before Ewan died, I won my place against others who also wanted to become nurses. I was chosen.

My daughter is sitting on the mattress playing Minecraft on an i-pad with Asima.

"Want some apple tea?" Asima asks, seeing my face. She heads down the corridor to the shared kitchen

"Hey, habibi," I say – then, as soon as we are alone, "Hey, Nat."

And, just like that, she is Nat again. I've trained myself to call her Talida to others, even to think of her that way. We're hiding in plain sight. I sit beside her on the rumpled mattress, where there is barely room for me, and she snuggles into my arms.

"It's OK," she says, like I'm her daughter. "You're OK."

"Did you get out today?"

"No, we were going to go to the roller-skating place, but Alya, who looks after the food bank stuff, phoned to say she was ill so Asima had to do it. She had to cover for her," Natalie says, proud of her terminology.

I like Asima. She is cheerful and kind. She speaks in nervous wee jerks, and her nails are badly bitten, but she is awful strong for such a young person. Physically and mentally, I think. She can't be much more than twenty. She has a wee dog at home called Manunu. She shows Natalie the pictures on her phone. Nat would love a dog. Any pet in fact. She talks long hours with Asima about Manunu's ways and what she would do with her own dog, if she had one. It would be a Cretan Hound, a golden-brown one. The kind that have dark roots at the base of their honey-coloured fur.

"You can adopt them from other countries," she tells me.

That's what Asima did. She would call her dog Lara and let her have puppies, just one litter of puppies, and keep them too. Cretans have small litters. She's googled it when Asima lets her use the computer. She wouldn't give them away.

"Lara is a Greek name," Nat tells me.

I try to think I am not jealous of Asima with my daughter. It's plainly nice for Nat, a relief to be with someone who isn't always struggling, who doesn't – even without saying it – make her feel the burden of being saved. I am a person who is always looking. I notice that there's a policeman on that corner; those men going into the back of the restaurant look like border force officials. Even if I don't say, she knows I'm doing it. That everything about me is a warning, a warning for her. Men who offer to help may not be trustworthy. You must never, ever follow them behind their doors. That elderly woman with the distracted expression may react unpredictably.

"I know, Mum. I know," she says impatiently; almost humiliated by my care, by the suggestion that she might not, after all this, already know these things. "I'm nine now," she says, on a good day, letting go of my hand. On a bad day she is angry and cries. She wants to get away from me. Later she is sorry and asks forgiveness. She never talks about Ewan now. I don't know whether it is to spare me or spare herself or because he is part of another world and another life entirely. He was a lovely daddy, especially when she was wee. She must miss him, miss that life, but she never talks about it. Not even to mention her old school friends or her Nana. We did talk about them, a bit, in the detention centre days. I tried awful hard then; now I don't know where to begin.

Asima pities me, I know.

"It's barbaric," she's said more than once when she thinks Nat isn't listening.

I feel her disgust like sweat on my skin. The word barbarian means foreigner, those who are not like us, and the barbaric is what foreigners do.

"Medieval," she says, disbelievingly – "just medieval."

She sniffs and chews a hangnail. I too, then, am medieval. I am ashamed of the things she knows about me, that she must know for my case. The things that have happened to me, that happened to my sister. For Asima, these are not things that happen to people like us, people who had microwaves on their kitchen surfaces or umbrella palms in large pots in the foyer of their workplaces.

Asima has short, ruby-red hair with dark roots, a bit like the fur on a Cretan Hound. She doesn't cover it even when she goes out; or just winds a scarf loosely under her chin and across her shoulder. There are two other families in the building. Asima doesn't know when there will be a space for both of us to stay. For now, Nati sleeps on a wee camp-bed mattress in the office where Asima is on night-duty. The mattress is wedged between the filing cabinet and the door. The children here are mostly babies but Patrizia is just a year younger than Nat and has been attending school in the district. Patrizia has two friends from her class who come round almost every day.

I know about this foreigner word because Barbara, the Polish woman I knew in the camp, told me with one of her big hearty laughs – "My name it means Bloody Foreigner Woman. It's Greek." Also the patron saint of miners. Barbara's husband was a miner in Silesia; but he lost his job and had a lung disease. When he died she took Rafal, their only son, and left.

He wanted to wear dresses, to be a girl; “Ever since he was six years old,” she told me. “You can’t do that in my country. They will kill you. When he became a teenager, I saw that.”

Nati loved Rafal, who would play with her for hours, making doll theatres by draping sheets and scarves from the bunks. We got our chance to come here but they did not. I have written twice now but got no reply. Barbara would write back if she were still there. I know she would.

Asima comes in carrying a big pan, holding the handles with two dishcloths. She has a big plastic apron over her clothes. She designs her own and has adapted this outfit so that it’s half-way between a man’s thoub, in sombre blue with bell sleeves, and a salwar kameez. Even I can see how creative she is. The apron says Tabasco in red on a green background. She asks Nat to run along to the family room and bring some bowls and cutlery from the sideboard in there.

“Be a love,” she says. “There’s a jug of water next to the sink in the kitchen – pop and fetch that too.”

We sit on the floor and eat, mopping up the sauce with the flat kisra bread. It’s the first thing I’ve eaten today and it tastes deliciously musty and creamy at the same time. The mustiness of the chickpeas and the pungent cumin, with the solidity of the onions and garlic, fair make me light-headed even as they fill my stomach.

Asima thinks the Um Badda Centre’s legal advisor will have better news for me when she comes on Thursday.

“She thinks there is a way forward with the country guidance route,” she tells me kindly, wanting to give me some encouragement as she sends me away.

In my head the country guidance route is long and dusty and I move along it on a bus. The night is warm and the gritty wind of earlier has dropped. The real bus moves away from the lights with the juddering growl that wakes me or lulls me to sleep by turns in the darkness.

“Oh wow,” Natalie used to say, at any creepy-crawly or a flower or an animal or a new toy – at anything in the world that was pointed out to her. “Oh wow!”

I hear the intonation so clearly in my head, that toddler wonder, though of course she has not sounded like this for years.

It is hard sometimes to remember children as they were, because all their later selves are overlaid on their earlier ones and the present one is still before you.

“Oh wow!” she used to say with such grown-up intonation, the dark pools of her amazement seemed to be all pupil. I don’t know what makes me think of this except that there was something so different about the hunch of her shoulders as she sat on the mattress when

I was leaving, engrossed in her game. And suddenly I know she was pretending; that she didn't look up so that I would not see in her eyes her terror to watch me go.

The bus is passing St. Mark's Hospital. As it inches its way down the street, past the parked cars blocking on either side, I can see across to the place where the ambulances draw up. Above the entrance to the building is a flat semi-circular roof and beneath it there's a yellow light, shedding its disc of metallic marigold.

Beyond the glass doors is the foyer itself, the subdued lighting there, a watery mint-green, reflects off the polished floor like a segment of sundew melon, like the light on the moon. I am full of longing to step off the bus at the next stop, to walk purposefully towards that slice of cool, artificial light, through the sliding doors, to be leaving my child simply for my work on the night-shift. I never finished my training but I could work there, as a support worker, maybe even as a volunteer. I look at the porter returning a wheelchair, exchanging a joke with the two paramedics, a man smoking by the emergency door and the midwives in their purple uniforms leaving the building, glancing to left and right.

Helen Lynch

Gdzie indziej być

Jest lipiec, więc pada deszcz. Leje jak z cebra od czwartej popołudniu. Światła uliczne i neony wydłużają się i przepływają mi przed oczami, gwałtownie rozbijając się o twardą szybę autobusu. Moja głowa stuka o krawędź okna. Chusta z głowy opadła mi obok łokcia, który ociera się o zużyty materiał oparcia. Ulica Al-Shifa. Gdy zatrzymujemy się na światłach, widzę przed sobą wieżowce koptyjskiego szpitala. Więcej roztopionej czerwieni a potem zieleń, rozpuszcza się w zamgloną ciemność, sprawiając, że mrugam; pomarańczowo-żółte i turkusowe smugi światła na zewnątrz hoteli zniekształcone przez drżące krople deszczu na szybie.

Kiedyś spałam lepiej, gdy czułam jej ciężar na moim ramieniu, nawet gdy mi drętwiało. Choć teraz cieszę się, że przynajmniej może spać w nocy w łóżku.

Kiedyś, na początku, musiałyśmy spać tylko razem. Wtedy wznosząc się ponad dobrze mi znanym strachem i rozpaczą, czułam obecność tych miejsc, których żadne z nas nie chciało pamiętać, wymęczone zwycięstwo i to, że ją ochroniłam. To poczucie zwycięstwa okupione wyczerpaniem, kiedyś mnie unosiło, przynajmniej na chwilę. Potem zakurzony piach na oknie pękał, tworząc archipelagi między wyschniętymi smugami po deszczu.

Wyczerpanie jest teraz inne. Teraz, dzięki Bogu, ona jest z Asimą i innymi.

Sześć głów, które widzę przede mną nad zagłówkami siedzeń w autobusie, toczy się delikatnie z boku na bok. Każdy śpi lub próbuje zasnąć. To głównie pracownicy fabryki ceramicznej w drodze do domu. Gdy miniemy dworzec autobusowy autobus zawróci i wróci do fabryki, zabierając ludzi na następną zmianę. I tak w kółko, prawie przez całą noc. Zanim się zatrzyma, przed świtem, a wtedy kierowca wysiadzie, spoglądając na mnie i zostawiając otwarte drzwi pałac na przerwie papierosa, to będzie już cały mój sen tej nocy.

Kierowcy na tej trasie znają mnie i jednego lub dwóch innych takich jak ja, którzy czasami do nas dołączają. Są mili i niczego nie żądają w zamian za swoją uprzejmość; ani pieniędzy, niczego. Pamiętają Talidę i czasami pytają: jak się ma mała? To nie jest jej prawdziwe imię, ale lepiej, żeby jej imienia nie kojarzono z nią samą. Znajdę cichy zakątek na tyłach dworca autobusowego, naoliwię włosy i owinię moją tarhę⁴ wokół głowy, końcówkę schowam pod brodę.

Są sytuacje, w których tego nie robię i zostawiam włosy takie jakie są. Często jest nawet lepiej, gdy ludzie zakładają, że jesteśmy Koptykami, choć nasze twarze nie pasują, a akcenty są złe. Na początku, kolor włosów Talidy pomagał nam robić takie wrażenie. Ludzie mówią do nas powoli, ale częściej patrzą poza nas, jakby nas tam nie było, nauczyliśmy ich do tego zachęcać. Koptowie zakładają, że pochodzimy ze wsi - co wcale nie jest błędem. Problem z naszą skórą nie znika, nawet gdy jest przykryta pod długimi rękawami i w tym całym kurzu i brudzie, który przez większość czasu pokrywa nasze twarze i ramiona. Najlepiej jest o tym zapomnieć, zanim ktoś nawet pomyśli, aby zapytać.

⁴ Chusta używana jako nakrycie głowy w krajach arabskich

Dziś jednak jestem umówiona i nie będę miała czasu, by pójść na ulicę Um Badda, gdzie muszę stanąć w kolejce do Urzędu. Na pewno znajdę miejsce, gdzie będę mogła wytrzeć ręce i znowu dokładnie naoliwić włosy. Zarifa będzie wiedziała, kiedy rozpocznie się następny etap apelacji. A może nie będzie. Nie jestem pewna czy jej ufam. Przyzwyczaiałam się do Khaleda. Kiedyś zrobił mały szkic Talidy, na odwrocie formularza i dał mi go.

Talida nie będzie obrzezana. Ja byłam. Moje dwie siostry były i jedna z nich umarła. Robił to miejscowy mężczyzna, a inne kobiety przytrzymywały dziewczyny.

Dziś chodzą do kliniki w Inverurie lub jeżdżą do większych miast. W naszej wsi inaczej nie zostaniesz mężatką. Nikt cię nie poślubi.

"Taka dziewczyna jest bezużyteczna." mówił Ewan, choć kochał ją i mnie, nie spieszył się z decyzją. Miał zapalenie opon mózgowych i umarł. Jego brat powiedział, że się ze mną ożeni i wiedziałam, że to zrobi, więc uciekliśmy. Wzięłam trochę pieniędzy, które Ewan ukrył w domu. Stuart przyjechał za nami aż do Aberdeen, ale zapłaciliśmy kilku ludziom i już nas tam nie było. W pierwszej części podróży, był tylko kierowca i my dwie w samochodzie, więc było całkiem couthy⁵. Talida wciąż jeszcze śni o ostatniej części podróży łodzią. Nie zagląda na Facebooka, aby się czegoś na ten temat nie dowiedzieć. Na szczęście jej przyjaciele ze schroniska wolą Instagram.

To Khaled załatwił nam możliwość pójścia do schroniska na ulicy Um Badda, kiedy nasze podanie zostało odrzucone. Nie powinien był. W tym momencie wszystko się skończyło. Bony żywnościowe, miejsca noclegowe, dostęp do lekarzy, lekarstwa.

Przestało padać około piątej rano. Popękane chodniki na dworcu autobusowym parują, mimo że słońce ledwo co weszło. Być może, jeśli będę szła naprawdę szybko, będę miała czas, aby zająć na ulicę Um Badda aby zabaczyć Talidę i jeszcze wrócić zanim otworzą Urząd. Na przewodzie telefonicznym, który zapętle się nad dachem garażu autobusowego siedzi mały⁶ piaskowo-brązowy ptak. Nie wiem, jaki to rodzaj. Kolejny przelatuje nad nim, skręca i ląduje obok pierwszego. Pierwszej wiosny, kiedy byliśmy w Khartoum, zobaczyliśmy dziesiątki czarno-białych ptaków stłoczonych na drutach nad naszymi głowami. Talida was fair tricket at the sight⁷. Potykając się na wpół śpiąca, mogłam ją przekonać, aby wyszła z autobusu, jedynie obiecując, że zobaczy ich więcej. Powiedziałam jej, że to jaskółka domówka, ta sama jak ta para, która gnieździ się co roku w naszej starej pralni. Dzień po dniu zbierały się na drutach, potem już ich nie było. Pomyśleć tylko, że takie małe ptaszki latają tu i z powrotem cały czas, i tak w kółko. Nawet te młode, które nigdy wcześniej tego nie robiły i nie wiedzą, dokąd lecą i dlaczego. Lecą tysiące mil przez morze.

Tylko czasami widzę niebieski kolor metalowej grodzi, ponury niebieski z plamami rdzy wokół nitów. Miałyśmy szczęście. Nasza łódź była przepełniona i stara, ale to była właściwa łódź. W tym obrazie jakoś nie widzę ludzi, mimo że było ich tak wielu. Przez większość czasu byliśmy na dole, a kiedy wspinałyśmy się po schodach na pokład, moje

⁵ Przytulne (‘szkocki’ w tekście: miło; przytulnie)

⁶ W oryginale: wee – w języku szkockim oznacza mały lub formę zdrobnienia (‘wee bird’ – ptasze)

⁷ Talida była niezwykle zadowolona (używane w północno wschodniej Szkocji)

ramiona obejmowały Talidę, trzymając się liny na wypadek, gdyby upadła do tyłu; wszystko, co widziałam nad jej głową, to nieprawdopodobna jasność nieba, raniąca moje oczy. Za mną tłoczyli się ludzie, wiele osób kucało na pokładzie, jednak górna część schodów była pusta. Odzyskałam równowagę, gdy wracałyśmy.

Tylko raz, budząc się w autobusie, zobaczyłam oczy ciężarnej kobiety, które patrzyły wprost na mnie; trzy leżące osoby, inni wołali o wodę dla nich. Kobieta, nastolatek i mężczyzna w luźnych czarnych spodniach. Pamiętam jego spodnie, ponieważ gdy leżał jego stopy wyglądały na odwrócone w niewłaściwą stronę. Podłoga pod pokładem była pomalowana na rdzawoczerwono i zawsze mokra, pokrywała ją słona woda trochę zamglona od oleju silnikowego i zawsze było ślisko.

Było tam wielu nastoletnich chłopców z biedniejszych miejsc na południu. "Poradzą sobie" - pomyślałam - "są młodzi i silni". Okazało się jednak, że wielu z nich nie umie pływać. My dorastałyśmy pływając w potoku⁸. Nawet Talida miała większe szanse niż oni.

Mieliśmy szczęście. Ciągłe to powtarzam. Nasza łódź została odebrana przez straż przybrzeżną, tak jak przewidzieli to przemysłowcy. Dryfowaliśmy tylko dwa dni. Nie musieliśmy pływać.

Próbowałam przekonać Talidę, żeby opowiedziała mi o swoich snach, ale nie chce o tym mówić. Wiem, że czasami śni o obozie, bo mamrocze o nim przez sen. Ludzie, którzy mówili do siebie, a czasem krzyczeli, wołali, że woleliby teraz umrzeć, podczas gdy strażnicy się z nich śmiali. Albo dorośli ludzie, którzy moczyli łóżka i musieli wynosić prześcieradła na oczach wszystkich, myślę, że Talida bardziej bała się tych ludzi niż strażników; że bycie dorosłym może być takie. Nie nazywano tego obozem zatrzymań, lecz ośrodkiem lub placówką. Nigdy nie poduczyłam się libańskiego wystarczająco, aby naprawdę zrozumieć różnicę. Dla Talidy poprawianie mnie jest jej sposobem na zmianę tematu. Nie chcę zmuszać jej do przypominania sobie snów, jeśli tego nie chce. Były tam inne dzieci, cała zgraja, w każdym wieku, bawiły się razem na Dziedzińcu lub w Dużym Pokoju. Miałam wtedy nadzieję, że to nie potrwa długo i wmawiałam sobie, że jest szczęśliwa, tak jak dziecko, z przyjaciółmi i z mamą, regularnym jedzeniem (niektóre nawet nie zawsze klasyfikowała jako obrzydliwe): życie pełne granic i rutyny. Miałam nadzieję, że zapomni o łodzi; ale prawie tak samo męczy ją nocami ta Placówka.

Nie tego oczekujemy. Życia bez złych wspomnień, które nigdy nas nie opuszczają. Teraz już to wiem. Często, kiedy spoglądam na te chwile, kiedy całe moje ciało było tak przepełnione lękiem o mnie, o nią, widzę to bez żadnego dźwięku, jak niemy film. Kiedy indziej słyszę tylko dźwięk, hałas, jaki wydali z siebie ludzie, gdy zobaczyli łodzie, za które zapłacili. Zabierali nas w pontonach na większą łódź, ale mimo to, że ją widziałyśmy, bałyśmy się; bałyśmy się, że kłamią. Wiedzieliśmy, że wielu wypływało na morze na takich gumowych łodziach. Czasami słyszę to zupełnie bez żadnego obrazu. Gdzieś pomiędzy piskiem a jękiem, tchnienie, który może wydać tylko grupa ludzi naraz: jak dźwięk głosu jednej zbiorowej osoby. Trzej mężczyźni wskoczyli za nami do wody, wpychając nas

⁸ W oryginale: burn – szkocki odpowiednik cieku wodnego.

do pontonów i uderzając długimi kijami, jedyne co słyszę to: "Entra, Entra!"⁹ Dwóch mężczyzn wymachuje za nimi pistoletami w powietrzu; w każdej chwili jestem w stanie ich sobie wyobrazić, ale pewnego dnia, na niezwykle ruchliwej ulicy, po prostu słyszę, jak ich krzyk wybija się ponad hałas ulicy i ponad wołaniem ulicznych sprzedawców: "Entra, o voi uccidiamo!"¹⁰, mam ściśnięte serce i nie pomaga mi fakt, że wiem, że ich tam nie ma.

Nie ma czasu, żeby dostać się do Um Badda. Dobrze wiem, że nie ma. W Urzędzie na długo przed jego otwarciem formują się kolejki: jeśli nie będę w budynku i do czasu wywołania mojego numeru nie wezmę biletu, nikt nie wyjdzie, aby sprawdzić, czy nadal jestem w kolejce, która zawija się za rogiem od bramy. Talida i tak pewnie jeszcze śpi. Nie spała wczoraj do późna; i nawet teraz nie zawsze dobrze sypia, mówi Asima. Zanim wysłałam wczoraj wieczorem pokłóciłyśmy się z Talidą, kłótnia znikąd, o nic.

Później będzie na to więcej czasu.

Podążam za plecami Zafiry ubranej w granatową garsonkę, mijam biurka ustawione w otwartym planie biura, kierując się do jednej z pozbawionych powietrza kabin. Zafira od tyłu przypomina stewardessę. Ona jest stewardessą a ja podróżną walizką, którą prowadzi z tak wielką wprawą. Ma na sobie przylegającą schludną i jednocześnie swobodną tarhę¹¹, która zakrywa jej głowę i obramowuje jej błyszczące, związane do tyłu włosy. To w jaki jest związana na jej gardle, a nie schowana czy upięta, wzmacnia to wrażenie. Nigdy nie leciałam samolotem, ale widziałam reklamy.

Patrząc na nią od tyłu, prawie ją lubię. Kobiety z miasta są tu takie wolne. To jest w ich sposobie chodzenia, w świadomym witaniu się z innymi, szorstko i biznesowo dla jednych, dla innych przyjaźniej. Pracownicy społeczni nigdy nie prowadzą wywiadów przy własnych biurkach. Moglibyśmy urządzać sceny. Rozpłakać się. Myślę, że to dlatego, że nie chcą, aby brud tego, czym jesteśmy, co wymuszamy na nich, aby dla nas robili, był w ich czystej, przewiewnej przestrzeni, gdzie podczas przerw na lunch jedzą tamiyę¹² ze swoją hibiskusową herbatą w papierowych kubkach i wysyłają fotki z weekendu do przyjaciół.

Chociaż Zarifa otwiera drzwi i wchodzi do kabiny po mnie, siada szybciej, obracając w swoją stronę ekran komputera. Monitor porusza się wdzięcznie, jak słonecznik podążający za słońcem. Przed nią leży duży segregator. Może już przeczytała, bo go nie otwiera, kiedy tam jestem.

Zarifa mówi, że nie słyszała nic o postępach w sprawie naszego wniosku, nawet czy został przyjęty do rozpatrzenia. To i tak nie jest nawet apelacja, poprawia mnie, ale wniosek o rozpatrzenie. To sprawa administracyjna, a nie prawna: czy ja to dobrze rozumiem? Mogę jednak odwołać się od odebrania mi pomocy azylowej, gdy oczekują na deportację. Wzdrygam się na słowo „deportacja”, ale ona nie wyjaśnia mi ponownie, że jest to termin

⁹ Tłumaczone z włoskiego jako: wchodzić.

¹⁰ Tłumaczone z włoskiego, tu: wchodźcie lub będziemy zabijać.

¹¹ W krajach arabskich chusta służąca jako nakrycie głowy.

¹² Sudańskie jedzenie, znane także jako Falafel.

techniczny: nie oznacza to, że na pewno zostaną deportowana. Po prostu tak to brzmi. Muszę to sobie powtarzać, żeby uwierzyć, że jest tak, jak wyjaśnił mi to Khaled.

Zadaje mi kilka pytań, z których na większość już wcześniej odpowiadałam. Stuka w klawiaturę długimi, brzoskwinowymi paznokciami. Nie pyta mnie, gdzie śpimy ani co jemy. Kiedy brzęc, jakbym mogła zabłądzić w te rejony, odpowiadając na jej pytania, zmienia temat. Przeważnie polega to na mówieniu mi, czego mi nie wolno robić. Regulacja wytycznych krajowych, które zostały użyte w moim przypadku nie są do zakwestionowania, ponieważ nie są ani nieaktualne, ani niedokładne, nawet jeśli odnoszą się do całego kraju, a nie do części, z której pochodzę. Nie mam żadnych podstaw, aby twierdzić, że użyto niewłaściwej procedury w celu ustalenia, czy mam uzasadnioną obawę przed prześladowaniami w mojej pierwotnej sprawie lub w apelacji. Mówi, że to nie jest "moja sprawa", ale wiem, że ma na myśli to, że to nie należy do jej obowiązków. Zarifa jest poirytowana, ponieważ zabieram jej czas, a ona nie jest w stanie pozytywnie rozpatrzyć mojej sprawy. W pewnym sensie obwinia mnie i chciałaby aby mnie tam nie było.

Nie wiem, jak ludzie mogą być tak bezduszni, ale my nie jesteśmy tacy jak oni. Ledwie pamiętam, co to znaczy być taką jak oni. Nigdy nie byłiby na naszym miejscu. Oni to wiedzą. Być może stali się tacy bez serca, ponieważ w przeciwnym razie ich praca byłaby niemożliwa. Khaled nie wydawał się bezduszny, ale już go nie ma. Może już nie wykonuje tej pracy.

Kiedyś byłam osobą, którą inni ciepło witali. W Inverurie, kiedy zaczynałam jako recepcjonistka w dużym nowym centrum zdrowia, miałam podobne biuro, a przynajmniej jego część. Rośliny były trochę inne, nie miałam klimatyzacji. Odbierałam telefon i ustalałam plany, mówiąc, że „zobaczę, co da się zrobić” ustalając z pacjentami najbardziej dogodny dla nich termin. Potem rozpoczęłam nowe szkolenie. Na rok przed śmiercią Ewana wywalczyłam sobie miejsce spośród wielu, którzy też chcieli zostać pielęgniarkami. Wybrano mnie.

Moja córka siedzi na materacu i gra z Asimą w Minecrafta na iPadzie.

"Chcesz jabłkowej? herbaty" Pyta Asima, widząc moją twarz.

Zmierza korytarzem do wspólnej kuchni.

"Hej, habibi," mówię – a gdy już jesteśmy same mówię "Hej, Nat."

I tak po prostu ona znowu jest Nat. Nauczyłam się ją nazywać Talidą przy innych, a nawet myśleć o niej w ten sposób. Ukrywamy się będąc na widoku. Siadam obok niej na pomiętym materacu, na którym ledwo jest dla mnie miejsca, a ona wtula się w moje ramiona.

W porządku", mówi, jakbym była jej córką. "Nic ci nie jest."

"Wychodziłaś dzisiaj?"

"Nie, mieliśmy jechać na wrotki, ale Alya, która opiekuje się bankiem żywności, zadzwoniła i powiedziała, że jest chora: więc Asima musiała to za nią zrobić. Musiała ją krzyć" - mówi Natalie, dumna ze swojego słownictwa.

Lubię Asimę. Jest wesoła i miła. Mówi nerwowo, jakby jękając się, a jej paznokcie są mocno obgryzione, ale jest niezwykle silna jak na tak młodą osobę. Silna fizycznie i psychicznie. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Ma w domu małego psa o imieniu Manunu. Pokazuje Natalie zdjęcia na telefonie. Nat bardzo chciałaby psa. Właściwie jakiegokolwiek zwierzęcia. Spędza długie godziny rozmawiając z Asimą o zachowaniach Manunu i o tym, jak bawiłaby się z własnym psem, gdyby go miała. To byłby pies kretyński, złoto-brązowy. Taki, który ma ciemne odrosty na miodowym futrze.

"Można je sporowdzić z innych krajów" - mówi mi.

Tak właśnie zrobiła Asima. Nat nazwałaby swojego psa Larą i pozwalała jej mieć szczenięta, tylko jeden miot szczeniąt, i też by je zatrzymała. Psy kreteńskie mają nieliczne mioty. Wyszukała to w Google, gdy Asima pozwoliła jej korzystać ze swojego komputera. I tak by ich nie oddała.

"Lara to greckie imię" - mówi Nat.

Staram się myśleć, że nie jestem zazdrosna o Asimę przy mojej córce. To bardzo miłe dla Nat, taka ulga przebywać z kimś, kto nie zawsze boryka się z problemami, kto sprawia, nawet o tym nie mówiąc, że człowiek nie czuje ciężaru bycia ratowanym. Jestem osobą, która jest zawsze czujna. Dostrzegam, że na tym rogu soi policjant; ci mężczyźni wchodzący na zaplecze restauracji wyglądają jak funkcjonariusze straży granicznej. Nawet jeśli tego nie mówię, ona wie, że to robię. Wszystko we mnie jest ostrzeżeniem, ostrzeżeniem dla niej. Mężczyźni, którzy oferują pomoc mogą nie być godni zaufania. Nigdy, przenigdy nie wolno ci za nimi podążać. Ta starsza kobieta z rozkojarzoną miną może zachowywać się nieobliczalnie.

"Wiem, mamo. Wiem", mówi zniecierpliwiona; prawie upokorzona moją troską, sugestią, że po tym wszystkim może nie wiedzieć takich rzeczy. "Mam teraz dziewięć lat" - mówi, kiedy ma dobry dzień, puszczając moją dłoń. Gdy ma zły dzień jest wściekła i płacze. Chce ode mnie uciec. Później jest jej przykro i prosi o przebaczenie. Teraz już nic nie mówi o Ewanie. Nie wiem, czy chodzi o to, żeby dać mi spokój lub samej sobie, czy też dlatego, że on jest częścią innego świata i całkowicie innego życia. Był wspaniałym tatą, zwłaszcza gdy była mała. Musi za nim tęsknić, tęsknić za tym życiem, ale nigdy o nim nie mówi. Nie mówiąc nawet o jej przyjaciółkach ze starej szkoły czy babci. Rozmawialiśmy o nich, trochę, podczas pobytu w Ośrodku przetrzymań. Wtedy bardzo się starałam: teraz nie wiem, od czego zacząć.

Asima mi współczuje mi, wiem o tym.

"To barbarzyństwo" - powtarzała nieraz, kiedy sądziła, że Nat nie słucha.

Słowo "barbarzyńca" oznacza obcokrajowca, tego, który nie jest taki jak my, a barbarzyństwo jest tym, co robią obcokrajowcy.

"Średniowiecze", mówi z niedowierzaniem - „po prostu średniowieczne”.

Wącha i odgryza skórę paznokcia. Ja też jestem średniowieczna. Wstydzę się tego co o mnie wie, tego co musi wiedzieć w mojej sprawie. Rzeczy, które przydarzyły się mnie, które spotkały moją siostrę. Dla Asimy nie są to rzeczy, które przytrafiają się ludziom takim jak oni, ludziom z mikrofalówkami na kuchennym blacie lub z parasolowatymi palmami w dużych donicach ustawionych w holu ich miejsc pracy.

Asima ma krótkie, rubinowo-rude włosy z ciemnymi odrostami, trochę jak futro psa kreteńskiego. Nie przykrywa ich nawet, gdy wychodzi, nawet nie owija luźno szalikiem pod brodę i przez ramię. W budynku są jeszcze dwie inne rodziny. Asima nie wie, kiedy znajdzie się miejsce dla nas obojga, aby zostać. Na razie Nati śpi na małym materacu do łóżka polowego w biurze, w którym Asima pełni nocną służbę. Materac jest wciśnięty między szafkę na akta a drzwi. Tutejsze dzieci są w większości niemowlętami, ale Patrizia jest tylko rok młodsza od Nat i chodzi do szkoły w tej dzielnicy. Patrizia ma dwóch przyjaciół z klasy, którzy przychodzą do niej prawie codziennie.

Wiem o tym „obcym” słowie "barbarzyńca", ponieważ Barbara, Polka, którą poznałam w obozie, powiedziała mi zanosząc się śmiechem "Moje imię oznacza Krwawą Cudzoziemkę". To po grecku." Oznacza także patronkę górników. Mąż Barbary był górnikiem na Śląsku; ale stracił pracę i miał chorobę płuc. Kiedy umarł, zabrała Rafała, ich jedynego syna, i wyjechała.

Chciał nosić sukienki, być dziewczyną; "Odkąd skończył sześć lat" - powiedziała mi. "Nie możesz tego robić w moim kraju. Zabiją cię. Zauważyłam to gdy stawał się nastolatkiem".

Nati uwielbiała Rafała, który bawił się z nią godzinami, tworząc teatry dla lalek zwieszając prześcieradła i chusty z pryz¹³. Dostaliśmy szansę, aby tu przyjechać, ale nie oni. Napisałam już dwa razy, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Gdyby Barbara wciąż tam była odpisałaby, jestem pewna.

Asima przychodzi z dużą patelnią, trzymając uchwyty dwoma ściereczkami. na ubraniu ma wielki plastikowy fartuch. Projektuje swoje własne ubrania i dostosowała ten strój tak, aby był w połowie pomiędzy męskim thoubem¹⁴, w ponurym niebieskim kolorze z dzwoniastymi rękawami a shalwar kameez¹⁵. Nawet ja widzę, jaka jest kreatywna. Fartuch ma napis czerwony napis Tabasco na zielonym tle. Asima prosi Nat, by pobiegła do pokoju rodzinnego i przyniosła miski i sztuce z kredensu.

"Bądź kochana", mówi. "Obok zlewu w kuchni jest dzbanek z wodą - to też przynieś."

Siadamy na podłodze i jemy, wycierając sos kawałkiem chleba kisa¹⁶. To pierwsza rzecz, jaką dzisiaj zjadłam, smakuje jednocześnie wybornie stęchle i kremowo. Stęchlizna ciecierzycy i ostry kminek w połączeniu z mocnym smakiem cebuli i czosnku, słusznie powodują u mnie zawroty głowy, pomimo, że wypełniają mi żołądek.

¹³ Tu pryzce w znaczeniu jako łóżka piętrowe.

¹⁴ Męski ubiór w świecie arabskim, najczęściej w postaci długiej koszuli w stylu tuniki.

¹⁵ Tradycyjny strój kobiet w regionie w północno-zachodnich Indi i we wschodnim Pakistanie. Strój składa się z pary spodni (salwar) i tuniki (kameez), zwykle połączonej z szalikiem (dupatta).

¹⁶ Cienki chleb wytwarzany w krajach Afryki. Robiony z durry lub pszenicy.

Asima uważa, że doradca prawny Um Badda Centre będzie miała dla mnie lepsze wiadomości, kiedy przyjdzie w czwartek. "Uważa, że jest jeszcze nadzieja w postępowaniu według wytycznych krajowych", mówi uprzejmie, chcąc mnie zachęcić, gdy mnie odsyła.

W mojej głowie trasa po wytycznych krajowych jest długa i zakurzona, a ja poruszam się po niej autobusem. Noc jest ciepła, a wcześniejszy piaszczysty wiatr ucichł. W rzeczywistości, autobus oddala się od światła z mruczącym warkotem, na przemian budząc mnie i usypiając w ciemnościach.

"Oh wow," mawiała Natalie, przy każdym przerażającym pełzaku, kwiatku, zwierzęciu czy nowej zabawce - przy czymkolwiek na świecie, co zostało jej pokazane. "Oh wow!"

Słyszę tę intonację tak wyraźnie w mojej głowie, zachwyt malucha, choć oczywiście nie mówi już tak od lat.

Czasami trudno jest zapamiętać dzieci takimi, jakimi były, ponieważ wszystkie ich późniejsze ja nakładają się na ich wcześniejsze, a obecne są jeszcze przed nimi.

"Wow!" mawiała z taką dorosłą intonacją, a źrenice wypełniały jej oczy ze zadziwienia. Nie wiem, co sprawia, że o tym myślę, z wyjątkiem tego, że było coś odmiennego w jej zgarbionych barkach, gdy wychodziłam a ona siedziała na materacu pochłonięta swoją grą. I nagle doszło do mnie, że udawała; że nie podniosła wzroku, abym nie widziała przerażenia w jej oczach, gdy odchodzę.

Autobus przejeżdża obok szpitala św. Marka. Kiedy wlecze się w dół ulicy, mijając zaparkowane samochody zawężające ulicę po obu jej stronach, widzę miejsce, do którego podjeżdżają karetki. Nad wejściem do budynku znajduje się płaski, półokrągły dach, który rzuca pod sobą cień w kształcie dysku z metalicznie złocistym odbłaskiem.

Za szklanymi drzwiami w samym holu przytłumione oświetlenie, z odcieniem wodnisto miętowej zieleni, odbija się od wypolerowanej podłogi jak segment melona, jak światło księżycy. Bardzo pragnę wysiąść z autobusu na następnym przystanku, celowo iść w kierunku tego kawałka chłodnego, sztucznego światła, przejść przez rozsuwane drzwi, zostawiając moje dziecko na nocnej zmianie dla pracy. Nigdy nie ukończyłam szkolenia, ale mogłabym tam pracować, może jako opiekunka, nawet jako wolontariuszka. Patrząc na portiera, który zwraca wózek inwalidzki, żartując z dwoma sanitariuszami, mężczyzną palącym przy drzwiach ratunkowych i położnymi w fioletowych fartuchach, wychodząc z budynku, rozglądając się w lewo i prawo.

Helen Lynch

Emigracja to Utrata? Cós Jakby Dom.

Cieszyłam się na przyjazd tutaj. Przygoda, nieznany dziki ląd, wyspa... mgliste wyobrażenia, jak to tutaj jest, mała obawa i ogromna ciekawość... i coś jeszcze: jakby nadzieja, że to miejsce może być jakoś moje. Szarość mi nie przeszkadzała. Lubię szarość, różne jej odcienie, faktury, układy. Wspomnienie z łażenia po paryskich uliczkach, z którym tu przyjechałam i chciałam realizować w Aberdeen... Ha, ha! Zabawa losu, który tak tu drogi urządził, że nie da się przewidzieć, w którym miejscu wyjdiesz, jak już zaczniesz iść. Czy tego potrzebowałam? Tego bycia kołowaną przez los? Tak. Ale nie od razu o tym wiedziałam.

Też rozczarowanie, bo chciałam poczuć tę Szkocję, a tu polski kuzyn, z którym mieszkaliśmy, polski sklep, polski język w mieście, wszędzie mnóstwo Polaków. Chciałam i potrzebowałam totalnego oderwania od kraju, ale znalazłam się jak Gombrowicz w jakimś „pomiedzy”.

Dopiero niedawno uchwyciłam sedno mojej sytuacji w słowach, które mnie wreszcie usatysfakcjonowały: jestem na wycieczce, która się przedłuża... Tak, przedłuża się o dziewięć lat. Czas totalnie nieodczuwalny jako realnie upływający.

Co ciekawe teraz, kiedy po dziewięciu latach wreszcie znalazłam miejsce na biurko i usiadłam przy nim, pierwsze słowa, które do mnie przyplnęły to: „no to jestem w Szkocji!”. Surrealistyczne doznanie, bo gdzie byłam przez te dziewięć lat? Początkowo cieszyłam się tą nowością języka, kraju, obyczaju, przepychem przyrody, cotygodniowymi wypadami na *carboot sale*, koncertami w *Mooringsie*, gdzie wreszcie zobaczyłam ludzi moich klimatów w czarnych skórach, w tatuażach, nonkonformistów społecznych, których w Polsce jest mnóstwo przynajmniej na pierwszy rzut oka, a tutaj jakby żyli w przestrzeni równoległej przykryci warstwami dzielnych pracowników korporacji olejowych, pań pchających wózki wielokrotnie zasiedlone przez małe, rude, żwawe istotki.

Co jeszcze? Dojmujący głód polskich książek, dopóki nie zaczęły powstawać polskie księgarnie internetowe.

Co dzisiaj zostało po tych pierwszych wrażeniach? Zapach rybiarni dawno rozplątał się w moim zachwycie szkocką przyrodą, historią, magią i mistycyzmem. Wiem, kim teraz jestem. Jestem teraz sobą. *Outlander*. Ale Szkocja jest najlepszym miejscem, jakie mogłam wybrać. Pasuje do mojej natury na jakimś pierwotnym poziomie, bo język angielski nigdy nie będzie moim językiem. Coś jakby dom, ale chyba nie dożywni, może jeden z wielu? Może jestem postacią z *Animal Farm*? Mam już trzy domy: Poznań, Paryż i Szkocja. Jak trzy różne soki w lodówce.

Is Emigration a loss? Something like a home.

I was looking forward to coming here. Adventure, unknown wild land, island... vague ideas of what it's like here, little anxiety and great curiosity... and something else: like a hope that this place can somehow be mine. Greyness didn't bother me. I like grey, its different shades, textures, compositions. The memory of wandering the streets of Paris, which I brought here and wanted to pursue in Aberdeen. Ha, ha! The game of fate, that has arranged the paths here so that it's impossible to know, where you end up once you start walking. Was that what

I needed? That being swayed by fate? Yes. But I didn't know that at first.

Also, disappointment, because I wanted to feel this Scotland, and here's the Polish cousin with whom we lived, the Polish shop, the Polish language in the city, lots of Poles everywhere.

I wanted and needed a total break away from the country but I found myself like Gombrowicz in some kind of "between".

Only recently have I captured the essence of my situation in words that finally satisfy me: I'm on a trip that... is being prolonged... yes, prolonged by nine years. A passing of time, completely imperceptible and real.

Interestingly after nine years, when I finally found a place for my desk and I sat at it, the first words that came to me were: "Well, I'm in Scotland!". Surreal experience because where have I been for these last nine years? At first, I enjoyed this freshness of language, the country, the customs, the splendour of nature, the weekly car-boot sales, the gigs at *The Moorings*, where I finally saw people of my own type, in black leather, with tattoos, social non-conformists; there are many of them in Poland, at least at first glance, and here they are too - as if they live in a parallel space hidden by layers of brave oil & gas workers and ladies pushing prams inhabited by small, red, lively creatures.

What else? An overwhelming hunger for Polish books until Polish online bookshops began to emerge.

What's left today of those first impressions? The scent of the fishmarket has long faded away in my awe of Scottish nature, history, magic and mysticism. I know who I am now. I am me now. *Outlander*. But Scotland is the best place I could choose. It suits my nature at some primal level because English will never be my language. Like a home, but not for life, maybe one of many? Maybe I'm a character from *Animal Farm*? I already have three homes: Poznań, Paris and Scotland. Like three different juices in the fridge.

Aga Awtuch

Krótki esej o podróżowaniu.

Przecież w podróży był każdy, choć raz w życiu. Leciał daleko, ściśnięty między siedzeniami i nieczekinowanym plecakiem, a trupą wędrowców, z którymi wspólnego może i nie miał zbyt wiele oprócz suchego powietrza w zamkniętej w przestrzeniach maszynie, ale za to wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, do przeznaczenia. Utknąwszy na tym małym obszarze powietrznym, pasażerowie dzielą nie tylko wspólny teren i miejsce lądowania. O tym jeszcze nie teraz.

Nie wszyscy zawsze muszą daleko. Wielu z nich podróżowało chociażby do sąsiedniego miasta, starzejąc się w korkach na obwodnicy w samochodzie lub w skrzypiącym ze starości busie. Ilu podróżuje każdego dnia przemierzając znane im okolice, i jeśli tylko są na tyle uważni, aby wiedzieć, że to też niczego sobie wędrowka, to zobaczą coś więcej. Więcej? Co więcej? Czy można w czymkolwiek porównać spacer z psem dookoła bloku do wycieczki na Majorkę? Czy jakaś nić niewidzialna jeszcze przeplata wszystkie te śmielsze, wystawne, z rozmachem i planowane od miesięcy i te nudnawe stałe, codzienne wędrowki?

Sensownych odpowiedzi trzeba. Niech na salę wejdzie fizyk lub filozof, któregokolwiek łatwiej doprowadzić. Rzecz będzie o metafizyce. Tak jest, wątek metafizyczny rzecz by się musiało, ledwo uchwytne, w momencie przemieszczania się, wszyscy zajęci szukaniem biletu lub grzebaniem za mapą w telefonie, jednak jest tu metafizyka, uzmysławiana znacznie później, być może kiedy już jesteśmy z powrotem, kiedy dumnie pokazujemy fotki w sandałach i z przedziurawioną piłką plażową.

Ciężkie słowo, metafizyka. Zaśmierdziało przypalonym intelektem. Nie stać mnie na rzeczowe definicje, doprowadzono zapowiadanych ekspertów jako świadków (patrz powyżej). Wyjaśnienia w załączniku. Nie ma? Ach, załącznika nie ma? Eksperci nie donieśli, doniosą później, na razie wciąż zeznają. Sąd musi ustalić czym jest metafizyka podróży, bez tego ani rusz, nawet tytułu nie będzie.

A skoro już mowa, to niniejszy fragment zabrzmiał lepiej jako 'Metafizyka Podróży', biorąc pod uwagę, że samo pisanie to też podróż, pozwalam sobie odkryć ten podtytuł dopiero teraz.

Rozważmy przykład, aby zidentyfikować denata (nad czymś ta rozprawa sądowa przecież musi się toczyć), identyfikacja ważna w razie, gdy rodzina chciałaby rozpoznać zwłoki i pożegnać się po raz ostatni. Co prawda ekspertów już przesłuchają, winni gdzieś z boku sali ze spuszczoną głową choć nikt ich nie widział tak naprawdę, bo ze wstydu pewno się kulą, denata jednak trzeba określić najlepiej po ubraniu. Podróże zmęczyły go niesłuchanie, jest nie do poznania, może jedynie po ubraniu. Ubranie jako szczegół rzecz jasna, szczegół opisujący zjawisko podróży. Od tego zaczniemy.

Przypatrmy się więc przeciętnemu wędrowcy na najbardziej centralnej ulicy, dajmy na to miasta Aberdeen. Ulica szeroka, wybudowana w stylu neoklasyk z wszystkimi budynkami z granitu. Stać będą wiecznie, tego akurat możemy im pogratulować. No więc łazik przeciętny, z psem dajmy na to. Poziom zero: szmaciane rozklekotane buty, w kolorze

szarym lub kiedyś kremowym. Spodnie luźne, sportowe, paska brak, za to ze ściągaczami przy kostkach i w pasie. Koszulka polo, czerwona, z napisami love, zegarek ze srebrną bransoletą, bardzo widocznie ciężką na nadgarstku i krótko przycięty włos, krótko i praktycznie. Akcesoria: smycz i pies rasy niewiadomej, miły, zainteresowany panem i ludźmi dookoła. Pan to typ męski, typowy, zamieszkujący centrum miasta.

Typ żeński nie różni się tak bardzo. Poziom zero: buty materiałowe, lekkie dla odmiany, za kostkę, szare, czasem wściekle różowe, spodnie (arządsko spódnica) w kolorze ulicy, koszulka trykotka, czasem biała ze złotym napisem na piersi – nieczytelny. Fryzura: długie proste włosy, zawsze długie i proste i nie ma wyjątków, często farbowane na kolory popularne tej jesieni; niebieski lub morsko – zielony. Makijaż mocny, oczy mocno podkreślone czarną kredką. Biżuteria najczęściej złota. Panie nieczęsto chodzą z psem, czasem z, kropka w kropkę, koleżanką lub nawet kilkoma. Poczucie swobody, niezastąpione. Czy chcemy wyjść w ciapciach, czy w piżamie po gazetę nie tylko w sobotę rano, nikt się nie zdziwi. Tylko zupełnie nagie ciało narobiłoby jakiego zamieszania, a i to nie jest pewne.

Taka wolność, bylejałość rzekłby czepialski, nie obowiązuje kilka tysięcy mil dalej, dajmy na to w mieście Wrocław. To co nazywamy średnią elegancją w Aberdeen, we Wrocławiu niekoniecznie. No więc przeciętność wygląda tu tak: poziom głowa, starannie upięte włosy, czy to w kok czy fikuśny warkocz. Szyja okrażona apaszką najczęściej pasującą do bluzki, całość być może w pastelach, a może to po prostu barwny sweter. Spodnie co najmniej džinsowe a już w centrum miasta coraz więcej materiałowych o kolarze stłumionym, ale wciąż jakoś szczęśliwym, być może ciemno zielonym czy niebieskim. Na poziomie zero często widać obcasy lub buty z zamszu. Czasem sportowe, ale to już częściej u Panów. Panowie za to pachną, wabią mnie smugą przyjemnej woni tak, że podążam za delikwentem i zgaduję do jakiej kobiety zmierza lub jakiego biura wleje za chwile swoje feromony.

Że niewygodnie, że drogo? Ależ oczywiście. Życie na luzie jest tu podejrzane. Faux Paus. Życie na luzie może być niebezpieczne i przegrane a takich dookoła wielu. Zamknięto przejście Świdnickie więc babcia z małym pieskiem na kolanach zbiera teraz na rogu rynku, tuż przy poczcie. Czterdzieści lat wzorowej pracy przy zakładach szklarskich, niestety za mało. Być może źle się ubierała, wiadomo, że pierwsze wrażenie się liczy.

No więc co tu porównujemy? Kiczowatą wolność z bezlitosną elegancją, a w zasadzie gospodarczo – społecznym rygorem? Trzeba uważać. To za co chwałą w jednym miejscu, gdzie indziej jest gwarantem społecznego wykluczenia. Nadążasz? Nie? Przecież tak bardzo chciałeś podróżować.

Rozpatrzyliśmy podobnej wielkości miasta, ten sam gatunek homo sapiens sapiens, przechadzający się po ulicach w ten sam sposób, ale przecież wędrując z punktu A do B jesteśmy już jakby trochę inni. I gdyby wymyślono kapsułę teleportacji z miejsca na miejsce, musielibyśmy mieć co najmniej dwie szafy ubrań. Ależ oczywiście, metafizyki tu jeszcze nie ma, cudowne przemienienie nie następuje, przecież jako dowód tożsamości mamy tylko ubranie.

Kim jest zatem nasz denat, o którego cała ta sprawa się toczy, czy rozpoznano go po ubraniu tylko czy też są jakieś inne poszlaki? I czy w ubraniu owym, w bocznej kieszeni na przykład, można znaleźć szczyptę choć lub przynajmniej atom metafizyczny, ten sam o którym teraz dyskutują wezwani na salę eksperci? Niestety cała sprawa się tu gmatwa i nie można nic powiedzieć z absolutną pewnością. Aby nabyć nowych dowodów trzeba podróżować dalej, najlepiej do Berlina. Tam mówią bez ogródek i uściślają językiem dobitnym.

Każda tutaj ma tatuaż, na nodze, ręce i szyi. Ich wolność zaznacza się w pięciokrotnie przekłutej wardze lub przedziwnie skrojonej spódnicy. Choć czasem noszą i dresy i kapcie nie tylko w soboty. Czasem są bezdomni a czasem zakładają szpilki. Dresy noszą kloszardzi, bo oni reprezentują inny rodzaj wolności, czyżby taki sam jak w Aberdeen? Pewien skrót myślowy wtrącić tu trzeba i powiedzieć, że ta wolność dresiarza w Aberdeen, przetransportowana do Wrocławia, zmienia nam natychmiast klasę społeczną i taki beztroski brak uwagi na estetykę czyni nas tam bezdomnymi. A w Berlinie, z całym szacunkiem oczywiście dla bezdomnych z Berlina, to akt wolności? To szeroka kwestia do innej już dyskusji.

Moi drodzy, czym jest wolność w Berlinie a czym w Aberdeen i kto ma to ustalić? Nie chciałabym się nachylać tylko nad poczuciem wolności czy estetyki, a posłużyć się nimi jako przykład wartości, które mogą przecież być tak zmienne w zależności od szerokości geograficznej. Zatem, gdzie ta metafizyka, czyżby kryła się w kieszeni denata z dokumentami tożsamości. Co stanowi mnie, co stanowi mnie tutaj, w Aberdeen, a kim jestem we Wrocławiu. Kim się stanę w Berlinie?

Znowu ograniczając się do szczegółu, mojego spojrzenia, co może coś znaczyć a może i nie, jednak, gdy idę na zakupy w Aberdeen bardzo ważne jest dla mnie kupienie wszystkiego tak, aby dobrze ugotować i smacznie zjeść, kolor szminki to numer sto trzydziesty piąty na liście sprawunków. Wyjdę na imprezę znacznie rzadziej niż miałabym to robić w Berlinie, za to jem codziennie i im smacznej zjem tym bardziej życie mi się podoba. W Berlinie natomiast jestem gościem, przyglądam się znacznie bardziej przechodniom, których nie rozumiem i porównuję nie tyle co razem jemy, ale jak wyglądamy jak się zachowujemy. Stąd różnice w podejściu do tego co ważne, przynajmniej na krótką chwilę.

Skoro świat wartości może się pozmieniać choć trochę, może się pozmieniać i trochę bardziej lub też w końcu pozmieniać się całkowicie.

A jeśli tak, to czy zmienia się tożsamość tu i tam, czy to właśnie transformacja tej tożsamości, świata wartości w tak krótkim naturalnie niemożliwym czasie, to kwintesencja tej metafizycznej cząstki podróży? Podróżujemy, aby zostawić swój świat wartości i siebie w szufladzie i włożyć na siebie inny ubiór tożsamości. Przynajmniej na moment.

Zmieniamy się metafizycznie, za każdym razem w kapsule teleportacyjnej relacji Aberdeen - Wrocław lub Wrocław - Berlin gdy tylko podróżnik sobie zażyczy.

Sąd orzekł: tożsamości denata nie da się ustalić, bo za każdym razem, w innym miejscu, rodzi się na nowo. Sprawę umarza się. Oskarżeni odetchnęli z ulgą.

Beata Tschirch

A Short Essay on Travelling.

Everyone goes on a journey, at least once in their life.

Flying far, squeezed into seats, with unchecked baggage, and a bunch of other wanderers, perhaps without much in common except for all inhaling the same dry air in the enclosed space of the machine but, at least, all heading in the same direction, to their destiny. Stuck there, the passengers actually share not only this common space and the landing place. But there's no time to go there right now.

Not everyone goes that far. Many commute shorter distances, getting old in traffic jams on the ring road, sweating in a car or on a squeaky old-fashioned bus. How many travel every day through places they already know? How many of them are watchful enough to recognise they are not just on a regular journey and see something more. More? What more?

Can you compare a walk with the dog around the block with a holiday in Mallorca? Is there any invisible connection between all those brave, costly, splendid and planned-for-months trips and those innocent, usually boring, daily walks?

Sensible debate and answers are required. So let a physicist or philosopher be brought to the courtroom, whichever one is easier to find. This case concerns metaphysics. Yes, exactly, metaphysics it must be! In this moment of their journey, when everyone is busy looking for a ticket or checking directions on their phone, there is metaphysics there, not seen perhaps until much later, perhaps when we are back home, showing photos of ourselves in sandals with a punctured beach ball.

A heavy word, metaphysics. It stinks of wishy-washy intellectualism. I am not qualified to make a meaningful definition, so the previously announced experts are ushered into court. Clarification is in the appendix. Oh, there is no appendix? There are no explanations? Oh well, if the experts did not define it already, they will later. For now they continue to testify. The court must determine what 'the metaphysics of travel' is, for without this we can't move, can't move on: nor can we determine what the real title of this story should be. Talking of which, writing this is also a journey of discovery, and, at this point, I have realised that this text may be better entitled 'Travel Metaphysics'.

This court case, this trial, has to have a reason for taking place, so let us imagine that it must identify the deceased, an unknown traveller, so the family can view the body and say goodbye for the last time.

Although the experts have already been questioned and the guilty are somewhere at the side of the courtroom with their heads down (well, we assume so as no one has actually seen them because they are surely embarrassed and hiding). The victim still has to be identified. Perhaps this might best be done via his or her clothing. Clothes are just a detail, of course, but a detail to help us recognise where we have travelled to or from. This is where investigations really begin.

So, let's take a look at the ordinary wanderer on the most central street of ... let it be ... the city of Aberdeen. The street is broad, built in the neoclassical style with all granite buildings. They will stand forever and we can congratulate them on that. So, an average walker, with a dog and ... let it be, let's begin scanning... from the bottom, ragged shoes, grey or once white, maybe. Loose trousers, belt missing but with ankle and waist welts. Polo shirt, red, with love lettering, silver bracelet watch, very visibly heavy on the wrist and practical short-short clipped hair. Accessories: leash and dog of unknown breed, nice, curious about what's around. This gentleman is the masculine archetype of those who live in the city centres. The attire of the female does not differ much. Starting from the bottom: light fabric boots, behind the ankle, grey, sometimes angry pink, street-coloured trousers (rarely a skirt), tricot shirt, sometimes white with a golden unreadable inscription. Hairstyle: Long straight hair, always long and straight: no exceptions - often coloured in the trendy season shades; blue or sea green. Pony tails? The make-up is strong and the eyes are heavily accentuated with a black pencil. The jewellery is usually gold. The ladies don't often walk with a dog but often with a 'copy and paste friend' or a few of the same.

The irreplaceable sense of freedom. If someone goes out in onesie pyjamas or buys a newspaper still in slippers, nobody is very surprised. Perhaps a completely naked body would make some kind of fuss and even that is not certain.

This freedom, this carelessness, doesn't apply a few thousand miles away, for instance in Wrocław. What we might call 'average elegance' in Aberdeen, here in Wrocław, would not be dreamed of. So, the normal look there is like this: a level head, carefully pinned up hair, whether a bun or a fancy braid. The neck is covered with a scarf matching the blouse, which may be in pastels or else just a colourful jumper. Trousers are at least denim and yet in the city centre also made of other fabrics, with muted but still somehow happy shades of dark green or blue. At the bottom level you often see heels or suede boots, occasionally sporty footwear, although that's more common with men. Gentlemen, wear nice scents and as you follow a stream of pleasant aroma along the street, you can figure out who it might belong to or which work place they belong to.

Is this posh discomfort costly? Of course it is. A relaxed life in this environment is suspicious. A faux pas. Living in a relaxed atmosphere can be dangerous, doomed and there are many lost around. The Świdnica crossing has been closed, so an old lady with a little dog on her knee is now begging at the corner of the market, right by the post office. Her forty years of excellent work in glass factories, unfortunately not enough. Perhaps she was badly dressed, as it is known here: the first impression counts.

So what are we comparing here? Kitschy freedom with ruthless elegance or, in fact, economic and social rigor? We have to be careful here. What they celebrate in one place, may, elsewhere, be a guarantee of social exclusion.

Are you following? No? Why not? After all, you wanted to travel so much!

We have looked at two seemingly similar cities, the same species of Homo Sapiens strolling down the streets in the same way, but, having wandered from A to B, we are finding differences. And if a teleportation capsule had been invented to take us from place to place, we would need to have at least two changes of clothing with us.

But, of course, metaphysics is not here yet and that mystical transportation does not take place and we have just the one set of clothes as proof of identity. So, who, then, is our deceased, the one at the centre of this whole matter? Was he identified, identified by his clothes only or are there any other clues?

Perhaps in these clothes, in a side pocket, for example, at least a trace of one metaphysical atom was found, the same one that the experts called to the courtroom are now debating? No. Unfortunately, the whole issue has become confused and nothing can be said with absolute certainty.

New evidence is required and to gather it, we have to travel further, preferably to Berlin. There, where they speak out very directly, all might become clear.

Everyone here has a tattoo: on their leg, hands, neck. Their freedom is expressed in a multiply-pierced lip or a strangely cut skirt. They sometimes wear sports clothes and slippers and not only on Saturdays. Sometimes they are homeless and sometimes they are wearing heels. Scruffy suits worn by the homeless represent a different kind of freedom. Is it the same sense of freedom as in Aberdeen? If we take a false shortcut, we might say that the freedom dress code of the everyman of Aberdeen, if transported to Wrocław, immediately changes his social class and such a carefree lack of attention to aesthetics can make him look homeless. And in Berlin, with all the respect for the homeless there, is this carelessness an act of freedom?

Who is to decide, my dear, what is freedom in Berlin and what it is in Aberdeen? And is there, behind the sense of freedom or aesthetics regarding appearance an illustration of values that can be so variable depending on latitude?

So, where is the previously mentioned metaphysics in all this? Is it hiding in the pockets of the deceased with identity papers? And what about identity? Who am I? What makes me 'me' in Aberdeen, what makes me 'me' Wrocław? What is important and who do I become in Berlin?

Again, limiting myself to studying the detail of appearance, I find answers. I know that when I go shopping in Aberdeen it is important for me to buy good ingredients to cook and eat healthily but the colour of my lipstick when shopping is only number one hundred and thirty-five on my checklist of things to do. I go to parties much less often than I do in Berlin but I eat well every day and the more delicious the food, the more I like life. In Berlin, on the other hand, I feel I am still a guest and I look much more at passers-by and compare not so much what we consume, but how we behave. Differences in approach to life and in what is important to me.

If the world of values can change even a bit, it can also change a little more or completely? And, if so, is it really the identity that changes? Or is the transformation of this identity during an almost unnaturally short travel time through a world of different standards evidence of the essence of travel metaphysics?

We travel in order to leave our world, our values and ourselves in a drawer at home and wear another outfit for a while.

We change metaphysically, each time we journey via the teleportation capsule, whether from Aberdeen-Wrocław or Wrocław-Berlin, or indeed any other time or place the traveller visits.

The Court's Decision: The deceased cannot be identified because every time in each different place, they are reborn with a new identity. The case is dismissed.

Beata Tschirch

John G. Robson

A Lost Soul

You open the door and hesitantly step in and say, "Hello."

I notice you have a dog. Not just a dog but a lurcher.

"You both had better come in." At this request you seem a little surprised.

"We are not invited into many shops around here but thank you." As you hold out your hand in a greeting, it is accompanied with a genuine smile.

"It's our pleasure to have you both and if you need anything please ask?"

"Thank you. This is Sky, she is all I have and is fourteen years old. She has to have an operation to remove this growth."

There is quite a contrast between you and the dog. You have so little and are so shabbily dressed, with a little body odour and a hint of stale alcohol. The lurcher is well looked after. As I run my hands through the dog's fur, I realise I have never felt a coat in such good condition. This animal in fact, is in excellent condition.

"You certainly know how to look after this dog! Did you say her name is? Sky?"

"Yes! She is always there for me, I don't know what I would do without her, we're great mates."

An awful feeling passes through me as I realise this dog is old. I think: It won't be there for you one day.

There is such a sadness that surrounds you! A man whom is only a step from being homeless and yet you have this perpetual smile when being talked too.

So many questions I want to ask but dare not pry.

A man whom people shun and cross the road when seen. Nevertheless, a man in my book. A good man. Any person who can devote such care and love to others, whether people or animals, deserves time and consideration.

You ask. "Have you a plate, just the one, not a set?"

I'm thinking: how sad is that? Only the one plate?

"Not in here but I shall have a look in the back." I leave you and your hound to peruse the scattered goods, such a variety of stuff as any charity-shop carries. You show no interest, only requiring a single plate and having someone to talk too. All your loneliness comes through and your refined manners show.

“How much will I owe?”

“Ten pence ok? If I can find one.”

I wonder whether you have served in the forces and are left with those scars, finding it difficult to cope, as so many do.

“Sorry we don’t seem to have a plate of any description. You could try the Red Cross up the road. They may have one.”

“Thanks for trying. And taking the time to talk to me.”

“It’s been my pleasure. And thank you for coming in and introducing me to Sky.”

“Bye John.” You wink as you walk out of the door

Now I’m left wondering!!

Zagubiona dusza

Otwierasz drzwi, niepewnie wchodzisz do środka i mówisz: „Cześć”.

Widzę, że masz psa. Nie jakiś tam pies, ale chart.

- Lepiej wejdźcie oboje. Na tę prośbę wydajesz się trochę zaskoczony.

„Nie jesteśmy zapraszani do wielu sklepów w okolicy, dziękuję”

Kiedy wyciągasz rękę w geście powitania, towarzyszy ci szczerzy uśmiech.

"Miło widzieć was oboje, dajcie znać, jeśli czegoś potrzebujecie"

"Dziękuję. To jest Sky, ona jest wszystkim, co mam i ma czternaście lat.

Musi przejść operację, aby usunąć tę narośl”.

Spory kontrast pomiędzy tobą a psem. Masz tak mało i jesteś tak nędznie ubrany, czuć trochę odór ciała z nutą stęchłego alkoholu.

Chart jest pod dobrą opieką. Gdy przeciągam dłońmi po psim futrze, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie dotykałam sierści w tak dobrym stanie.

To zwierzę jest faktycznie w doskonałym stanie.

"Tak! Jest zawsze przy mnie, nie wiem, co bym bez niej zrobił, jesteśmy świetnymi kumplami”.

Przeszywa mnie okropne uczucie, gdy zdaję sobie sprawę, że pies jest stary. Myślę sobie, że pewnego dnia go zabraknie.

Otacza cię taki smutek! Człowieka, który jest tylko o krok od bezdomności, a mimo to masz ten nieustający uśmiech, kiedy się z tobą rozmawia.

Chcę zadać tak wiele pytań, ale nie mam śmiałości.

Człowiek, którego unikają ludzie i gdy go widzą, przechodzą na drugą stronę ulicy.

Niemniej jednak jesteś człowiekiem w mojej książce. Dobrym człowiekiem.

Każda osoba, która może dać tyle troski i miłości innym, czy to ludziom, czy zwierzętom, zasługuje na czas i uwagę.

Pytasz. „Ma pani talerz, tylko jeden, a nie cały zestaw?”

Myślę: jakie to smutne? Tylko jeden talerz?

„Nie tutaj, ale zajrzę na zaplecze.” Zostawiam cię i twojego psa, abyście przejrżeli porozrzucane towary, tę różnorodność rzeczy, jakie ma każdy sklep charytatywny. Nie jesteś zaciekawiony, potrzebujesz tylko jednego talerza i kogoś do rozmowy. Cała twoja samotność przenika przez ciebie i twoje szlachetne maniery są widoczne.

„Ile będę winien?”

„Dziesięć pensów, ok? Jeśli znajdę taki.”

Zastanawiam się, czy służyłeś w wojsku i tak jak wielu, zostawiono cię z tymi bliznami, z którymi trudno jest sobie poradzić.

„Przepraszam, nie mamy pojedynczego talerza. Proszę spróbować w sklepie Czerwonego Krzyża tam powyżej przy drodze. Oni mogą mieć”.

"Dziękuję, że pani sprawdziła i za poświęcenie czasu na rozmowę ze mną”.

"Przyjemność po mojej stronie. I dziękuję za przybycie i zapoznanie mnie ze Sky."

„Do widzenia John”. Wychodząc, puszczasz mi oko.

Teraz dopiero się zastanawiam!

John G. Robson

Those who stay and those who go.

The terrible cry came from behind. Running back to the croft, he saw her, framed in the doorway, one hand leaning on the kitchen table for support, the other over her mouth to stifle sound.

“Mother!” he said, starting towards her.

She realised he had heard the uncontrollable utterance of grief that had escaped her. She’d hoped he hadn’t. The sobs she had struggled to suppress now broke free, echoing round the stone walls and flag-stone floor.

She had grieved for her husband with quiet dignity, when widowed years before. She had said goodbye to Joseph, her eldest son, only minutes before, in the same stoic manner. He had never seen her like this! Stunned into silence, he got her into a chair and gave her the fresh handkerchief from his pocket. She gripped his hand in hers, and held it as if she could not let it go. He knelt beside her and waited until she’d cried the worst of it out and could speak.

“Forgive me, ma loon,” she said. “I ken ye canna bide ... but a bit of my hairt goes wi’ ye.”

Then his hand was freed and she became again the more practical, pragmatic woman he knew. She quickly fetched another clean, pressed hanky for him.

“I’ll be fine. Go now, Joseph. Godspeed.”

~

It was the 1840s and Joseph had months of travel ahead to take him from the North-East coast of Scotland to the North-East coast of America. First “Shank’s pony” to town, next horse and cart to Aberdeen, then coach to London to board ship for a voyage of 3000 nautical miles across the Atlantic

The crossing was difficult. Conditions cramped, provisions meagre, some on-board sick. A storm streaked across the sky and transformed the sea to a Leviathan that threatened to swallow the ship with each giant, gulping wave. The most religious of the passengers and crew prayed openly and even a few of the ‘un-godly’ were so over-awed by the show of mighty power they were heard to mutter “God help us!” Joseph felt sure his mother would be praying for his safe passage and sent up a plea that she might be spared being informed that he had drowned.

On reaching Boston, Joseph disembarked with relief, but found his position more tenuous than it might have been. He had missed connecting with a man from Baltimore who was to have given him a start in the new country. Joseph managed to secure work and lodgings, neither what he would have hoped for, but enough to keep him going. In a letter he cautioned his brother, George:

'Do not say anything of this to Mother, unless sure she will not trouble herself about it. I am hopeful things will pick up and will send word again when I am better placed.'

Her other children were close to hand. Janet, recently married to a ploughman, lived just a few miles away. Margaret and Barbara had found work as domestic servants locally, and George had left school to help her on the croft. But she missed Joseph so very sorely. Sometimes she day-dreamed and dreamt of his return, but when fully awake to reality, knew that would not be.

Food shortages, a cause of many leaving Europe, were found in America too. Joseph wrote to George,

'You wanted to know about the prices of things here. Regarding crops, they are priced high and there are no significant tonnages of potatoes here. It is worse than London for provisions. Also I bought a black coat for £3 and think I could have got a better one in Aberdeen for £1.'

There was some good news too, however. He had finally got in touch with the man from Baltimore and been offered a position paying double what he was presently earning. He would set off immediately.

'I am talking like the man who counted his fish before his hook was baited, so I will write no more now, except that I will take this journey with more pleasure than those preceding because I know better what I am going to Remembering Mother with kindness, love and gratitude.'

So, Joseph's internal compass, which had led him South-West from Scotland to America, now drew him further in that direction.

With the money that Joseph had sent, they managed to buy a cow. George saw to the milking, tended their few hens, and grew vegetables; she now made butter and cheese and did the other work in the home. She appeared busy as always, but somewhere in her heart or mind, believed that hunger had driven Joseph away. Her appetite left her and she became thin and care-worn.

When she died in 1850, some thought if she had 'turned her face to the wall'. Times were still hard and she had left instruction that her funeral was to be a simple affair. Two shillings were paid for a mortuary cloth and four for the grave, but no money was spent for ringing church bells or hiring strangers to weep at the graveside. She was genuinely missed by those who'd known her.

His mother had been dead for months before the news reached Joseph. He was not as shocked as he might have been. Although he had had no dramatic premonition, he had recently become aware of some vague troubling sense of her absence. Nonetheless, when the letter arrived, he felt both the huge loss of her and of the hope of seeing her again very deeply. He could now never return with gifts and stories of gains and glories to cheer her. Was 'home' still even home, now that she, the heart of it, had gone?

Questioning why he had left at all, he remembered the financial calculations and obvious conclusion that the farm could not support them all. He had left with mixed feelings, both regret and some excitement at the chance to satisfy his wanderlust..

Now he renewed his determination to try to make the most of life in America. Perhaps he had had enough of city life and might look for a little bit of land?

Correspondence between the brothers continued intermittently over the years. In the late 1850s, George wrote that he had prospered sufficiently that he could now *'afford to take a wife'*.

In an early letter, Joseph had complimented young George on his letters being, *'Presented as well as in the papers, which you read so keenly.'*

Now, Joseph often sent newspapers, *'I get them, read them, then send them off. It costs very little, and you can see by them, all that is happening in this Country.'*

Something that had been happening was the American Civil War of the 1860s. Joseph lived in the North and his sympathies were with the Unionist cause, but he was too old to serve.

In the 1870s, the South-West setting on his internal compass again activated. Joseph took a trip to San Francisco, but he described it afterwards to George without much enthusiasm. Increasingly, his thoughts were re-turning North-Eastwards. He asked more for news from Scotland and requested of George, *'When you write again please include some seeds of the best curly kale. I would like to have some of the kind from home.'*

George was doing very well. He had taken over a farm not far from the old croft and lived in the large farmhouse with his wife and five children. He employed a domestic servant and two men to help on the farm.

In his letter dated 1880, Joseph's mood seemed down and he conveyed disillusionment with the state of the country. He apologised for not writing sooner, explaining he had waited until after the State Fair to *'have something interesting to report'* but after attending he had *'found nothing of any great importance there'*. He wrote of falling real estate values, and that he was *'worth less now than a year ago'*. His comments on the constant influx of

new immigrants show concern for their prospects,

'Some manufacturing is springing up but not enough to give employment to all the folks who are arriving here still. They come and go away again, and some would go that cannot ...'

Joseph paused and read what he had written and wondered.

Am I one of those who would go but cannot? After all these years, don't I feel I belong here?

He looked back over his life. He had experienced being welcomed because of his 'accent from home' or because 'another pair of hands lighten the load', but he also had an experience of being the unwanted stranger and been met with cold stares and suspicion by those who feared for their livelihoods.

He considered the larger events of his time. The Highland Clearances, potato famines and transportation of prisoners from Britain to Australia. The war of Emancipation ending slavery and the continuing wars between the new and native Americans.

Whether motivated by need or greed, choice or necessity, it seemed the movement of people around the world could cause conflict. Either internally, in the urges to stay or go, or made manifest in battles over land and resources. Perhaps the difficulty was that even if newcomers brought peace, progress and prosperity, they also brought something that existing inhabitants were forced to react to, either by resistance or acceptance, and that thing was change? Then he thought that given the constant changes, the continuous settling and re-settling of human beings in different places, who really belonged anywhere? What does belonging even really mean?

A man might own a place but not feel it belonged to him, so it was not just a matter of money? A man might stay a life time somewhere, and still not feel he belonged, so it was not just a matter of time? Then he saw that a man must feel 'a part of' not 'apart from' a place or person to belong, so belonging was more a matter of the heart. Joseph determined to listen to his, thinking,

'To belong is to be where your heart longs to be when you are not there, and I think lang for hame.'

Oh! To go back! To smell the sea air, its hint of brine, blowing in off the North Sea, up over the cliffs onto the flat, fertile land! To feel fresh breezes clearing the lungs and the mind! Feel that well-watered grass and rich, dark soil beneath his boots! Hear the screech and skirl of the seagulls, usually background noise, sometimes an inescapable irritation, but now and again mournful and melodic!

Then, the memory of another sound came back to him, the heart-wrenching cry made by his Mother. Had she known she would never see him again? Now older himself, he believed it was possible and wondered how long it would be before he joined her.

He returned to the letter and wrote,

'I have considered that should I meet with any mishap, I should like a relation to take charge of the place I have here. Please send the addresses of any family you think might be interested. If someone would come here, then I would, at least for a visit, return to Scotland.

Your brother, with respect, Joseph.'

Lorna Davie

Ci, którzy zostają i ci, którzy odchodzą.

Przeraźliwy krzyk dobiegł z tyłu. Pobiegł z powrotem do gospodarstwa i zobaczył ją przez ramę drzwi, jedna ręką wspierała się o stół kuchenny, drugą zasłaniała usta aby stłumić krzyk.

‘Mamo!’ – powiedział kierując się w jej stronę

Uświadomiła sobie, że usłyszał niekontrolowany wyraz żalu, który się z niej wyrwał. Miała nadzieję, że nie usłyszał. Szloch, który do tej pory starała się tłumić, uwolnił się teraz, odbijając echem po kamiennych ścianach i podłodze.

Męża opłakiwała z cichą godnością, gdy owdowiała wiele lat wcześniej. Z Josephem, swoim najstarszym synem pożegnała się zaledwie kilka minut wcześniej w ten sam stoicki sposób. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Oszołomiony zaniemówił, posadził ją na krzesło i podał świeżą chusteczkę z kieszeni. Złapała go za rękę i trzymała ją tak, jakby nie mogła jej puścić. Ukląkł obok niej i czekał, aż wypłacz z siebie najgorsze i będzie mogła mówić.

‘Wybacz mi mój synku’ – powiedziała – ‘Wiem, że nie możesz zostać...ale odrobina mojego serca odchodzi razem z tobą.’

Uwolniła jego rękę i znowu stała się praktyczną i pragmatyczną kobietą jaką znał. Szybko przyniosła mu kolejną czystą, sprasowaną chusteczkę.

‘Poradzę sobie. Idź już, Bóg z tobą.’

Były to lata czterdzieste XIX wieku a Joseph miał przed sobą miesiące podróży, aby przemieścić się z północno-wschodniego wybrzeża Szkocji do północno-wschodniego wybrzeża Ameryki. Najpierw piechotą do miasta, potem furmanką do Aberdeen, dalej powozem do Londynu, by dostać się na statek na trzy tysięczno milowy rejs przez Atlantyk.

Przeprawa była trudna. Ciasne warunki, skąpe zapasy, niektórzy pasażerowie chorzy. Burza ciągnęła się po niebie i przekształciła morze w Lewiatana, który groził pochłonięciem statku wraz z każdym kolejnym olbrzymim łykiem fali. Najbardziej religijni pasażerowie i członkowie załogi modlili się otwarcie, a nawet kilku „bezbożników” było tak zdumionych pokazem potężnej mocy, że słyszano ich, jak mruczei „Boże pomóż nam!” Joseph był pewien, że jego matka będzie się modlić o jego bezpieczną podróż i poprosił, aby ocalić ją przed ewentualną wiadomością, że może utonąć.

Po dotarciu do Bostonu wysiadł z ulgą, ale znalazł się w sytuacji jeszcze bardziej wątpliwej niż mogłaby się wydawać. Nie nawiązał kontaktu z mężczyzną z Baltimore, który miał pomóc mu na starcie w nowym kraju. Udało mu się zdobyć pracę i zakwaterowanie, nie takie na jakie miał nadzieję, ale wystarczające by utrzymać go przy życiu. W liście do swojego brata Georgea ostrzegął:

"Nie mów o tym nic matce, chyba że będzie pewne, że się nie będzie zamartwiała. Mam nadzieję, że sytuacja się poprawi i ponownie wyślę wiadomość, kiedy już się ułożę".

Jej inne dzieci były blisko niej. Janet, która niedawno wyszła za mąż za rolnika, mieszkała kilka mil od niej. Margaret i Barbara znalazły pracę jako pomoc domowa, a George opuścił szkołę, aby pomóc jej w gospodarstwie.

Pomimo tego bardzo tęskniła za Josephem. Czasami śniła na jawie o jego powrocie, ale kiedy w pełni wracała do rzeczywistości, wiedziała, że to niemożliwe.

Braki żywności, z powodu których wielu opuszczało Europę, występowały również w Ameryce. Joseph pisał do George'a:

„Chciałeś wiedzieć, ile kosztują tu rzeczy. Jeśli chodzi o zboża, to ceny są wysokie i nie ma tu znaczącej produkcji ziemniaków. Jest tu gorzej niż w Londynie pod względem zaopatrzenia. Kupiłem też czarny płaszcz za 3 funty i myślę, że mógłbym dostać lepszy w Aberdeen za jednego funta”.

Były też i dobre wieści. W końcu skontaktował się z człowiekiem z Baltimore i zaproponowano mu stanowisko, płacąc dwa razy więcej zarabiał obecnie. W drogę wyruszy natychmiast.

„Mówię jak człowiek, który dzieli skórę na niedźwiedziu, więc nie będę teraz więcej pisał, z wyjątkiem tego, że wyruszę w podróż z większą przyjemnością niż dotychczas, ponieważ wiem, dokąd zmierzam. Pamiętając matkę z życzliwością, miłością i wdzięcznością”.

Tak więc, wewnętrzny kompas Josepha, który prowadził go na południowy zachód od Szkocji do Ameryki, teraz kierował go dalej w tym kierunku.

Za pieniądze, które przysłał Joseph, udało im się kupić krowę. George zajmował się dojeniem, opiekował się ich kilkoma kurami i uprawiał warzywa; ona robiła masło i ser i resztę prac domowych. Wydawała się jak zawsze zajęta, ale gdzieś głębiej wiedziała, że to głód wygnał Josepha. Straciła apetyt, schudła, posmutniała.

Kiedy zmarła w 1850 roku, niektórzy myśleli, że się od nich odwróciła. Czasy były nadal ciężkie. Zostawiła instrukcję, że jej pogrzeb ma być prosty. Zapłacono dwa szylingi za płótno pogrzebowe i cztery za grób, ale nie wydano żadnych pieniędzy na dzwony kościelne lub na wynajęcie płaczek do pogrzebu. Była szczerze opłakiwana przez tych, którzy ją znali.

Kiedy wieści dotarły do Josepha, jego matka nie żyła już od miesiąca. Nie wstrząsnęło nim tak, jakby się mogło wydawać. Chociaż nie miał żadnych dramatycznych przeżyć, ostatnio zauważył w sobie niejasne, niepokojące poczucie jej nieobecności. Niemniej jednak, kiedy nadszedł list, poczuł ogromną stratę, brak zarówno jej jak i nadziei, że ją znów zobaczy.

Teraz już nie mógł wrócić z darami i opowieściami o zyskach i chwałach, by ją pocieszyć. Czy "dom" nadal był domem, teraz kiedy ona, jego serce, odeszła?

Zastanawiając się, dlaczego w ogóle wyjechał, przypomniał sobie wyliczenia finansowe i oczywisty wniosek, że gospodarstwo nie może utrzymać ich wszystkich. Opuszczał dom z mieszanymi uczuciami, żalem, ale też ekscytacją na myśl o możliwości zaspokojenia swojego wanderlust¹⁷.

Teraz ponownie odnalazł motywację, aby spróbować jak najlepiej wykorzystać życie w Ameryce. Być może miał już dość życia w mieście i mógłby rozglądać się za kupnem ziemi?

Korespondencja między braćmi trwała z przerwami przez lata. Pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku George napisał, że powodziło mu się na tyle, że teraz *„stać go na żonę.”*

W jednym z pierwszych listów Joseph pochwalił młodego George'a, mówiąc, że jego listy brzmiały: *„Napisane tak samo dobrze, jak w gazetach, które tak chętnie czytasz”*.

Odtąd Josepha często wysyłał gazety: *„Dostaję je, czytam i wysyłam. To kosztuje bardzo niewiele, a ty możesz śledzić wszystko, co dzieje się w tym kraju”*.

To, co się działo, to amerykańska wojna domowa z lat sześćdziesiątych XIX wieku. Joseph mieszkał na północy i sympatyzował z unionistami, ale był za stary, by służyć.

W latach siedemdziesiątych uaktywnił się znowu, ustawiony na południowy zachód wewnątrz kompas Josepha.

Joseph wybrał się na wycieczkę do San Francisco, ale opisał ją później George'owi bez większego entuzjazmu.

Coraz częściej jego myśli powracały na północny-wschód.

Coraz częściej prosił George'a o wieści ze Szkocji: *„Kiedy będziesz pisał następnym razem, dołącz kilka ziaren najlepszego kędzierzawego jarmużu. Chciałbym mieć trochę tego z domu”*.

George radził sobie bardzo dobrze. Przejął farmę niedaleko starej zagrody i mieszkał w dużym gospodarstwie z żoną i pięciorgiem dzieci. Zatrudnił pomoc domową i dwóch mężczyzn do pomocy w gospodarstwie.

W liście z 1880 r. Joseph wydawał się być w złym humorze i w liście wyraził rozczarowanie stanem kraju. Przeprosił, że nie pisał wcześniej, wyjaśniając, że czekał aż do zakończenia targów stanowych, aby *„mieć coś ciekawego do przekazania”*, ale po uczestnictwie w

¹⁷ Wanderlust – niem. Zamiłowanie do wędrowek.

nich stwierdził, że „nie znalazł nic godnego uwagi”. Pisał o spadających wartościach nieruchomości i że „były warte mniej niż rok temu”. Jego uwagi na temat ciągłego napływu nowych imigrantów były wyrazem troski o ich perspektywy.

"Pojawia się tu pewna wytwórnia, ale nie wystarczająca, by dać zatrudnienie wszystkim przybywającym tu jeszcze ludziom." Przyjeżdżają i odjeżdżają, inni z kolei odjechaliby ale nie mogą..."

Joseph zatrzymał się i przeczytał, co napisał, zaczął się zastanawiać.

Czy jestem jednym z tych, którzy odjechaliby, ale nie mogą? Po tych wszystkich latach, czy nie czuję, że jestem częścią tego miejsca?

Spojrzał wstecz na swoje życie. Doświadczył ciepłego przyjęcia z powodu swojego "rodzimego akcentu" ewentualnie ze względu na 'dodatkową parę rąk do pracy' ale też był traktowany jak niechciany, obcy, spotykając się z zimnymi spojrzeniami i podejrzliwością ze strony tych, którzy obawiali się o swoje gospodarstwa.

Rozmyślał nad istotnymi wydarzeniami swoich czasów. Highlandzkie czystki, głód ziemniaczany i wywózki więźniów z Wielkiej Brytanii do Australii. Wojna emancypacyjna kończąca niewolnictwo i trwające wojny między nowymi i rdzennymi Amerykanami.

Wydawało się, że przemieszczanie się ludzi na całym świecie może wywołać konflikt, niezależnie od tego, czy motywacja jest potrzebą czy chciwością i czy dokonywana jest z wyboru czy z konieczności. Manifestujący się wewnętrzny, chęć pozostania czy odejścia, w chęci pozostania lub odejścia, albo poprzez bitwy o ziemię i zasoby. Być może trudność polegała na tym, że nawet jeśli nowoprzybyli przynosili pokój, postęp i dobrobyt, przynosili też coś, na co obecni mieszkańcy byli zmuszeni zareagować, oporem lub akceptacją, a to była zmiana?

Pomyślał, że biorąc pod uwagę ciągłe zmiany, ciągłe osiedlanie się i ponowne zasiedlanie się ludzi w różnych miejscach, Kto tak naprawdę czuł, że miał swoje miejsce? Co tak naprawdę oznacza przynależność?

Człowiek może posiadać miejsce, ale nie czuć, że należy ono do niego, więc to nie jest tylko kwestia pieniędzy? Ktoś może gdzieś się osiedlić i nie czuć, że to miejsce należy do niego, więc nie jest to też tylko kwestia czasu?

Potem zrozumiał, że człowiek musi czuć się „częścią”, a nie „poza” miejscem lub osobą, żeby do niej należeć, więc przynależność jest bardziej sprawą serca. Joseph postanowił wysłuchać swoich myśli:

*"Należać to być tam, gdzie twoje serce pragnie być, wtedy, gdy cię tam nie ma, a więc myślę, że to 'lang for hame.'"*¹⁸

¹⁸ Lang hame – szkoc. w tym kontekście oznacza tęsknotę za domem.

Och, wrócić! Poczuć zapach morskiego powietrza, ten posmak solanki, więcej znad Morza Północnego, znad klifów na płaską, żyzną ziemię! Poczuć świeży powiew oczyszczający płuca i umysł!

Poczuć tę dobrze nawodnioną trawę, bogatą, ciemną ziemię pod jego butami! Usłyszeć pisk i skowyt mew, zazwyczaj szum w tle, ale czasem nie dająca się zagłuszyć irytacja, a od czasu do czasu dźwięk żałobny i melodyjny!

Potem przypomniał sobie o innym dźwięku, o rwącym serce płaczu jego matki. Czy wiedziała, że nigdy więcej go nie zobaczy? Teraz gdy był już starszy, wierzył, że to możliwe i zastanawiał się, ile czasu minie, zanim do niej dołączy.

Wrócił do listu i napisał:

„Pomyślałem, że jeśli spotka mnie jakikolwiek niefortunny wypadek, chciałbym, aby ktoś z krewnych przejął kontrolę nad miejscem, które tu mam. Prześlij adresy tych z rodziny, którzy Twoim zdaniem mogą być zainteresowani.

Gdyby ktoś tu przyjechał, to przynajmniej mógłbym na chwilę wrócić i odwiedzić Szkocję. Twój brat, z szacunkiem, Joseph”.

Lorna Davie

John Bolland

The Route to Learning

Noises in the distance circumambulate the change of mind this represents. Changes of changes in mind. And the mind of this place is weeds and wind-borne trash and evidence of feral children. Matter out of place. Material.

Beyond the flyover, the planes still drag themselves into the overcast and out of here. No trace of rubble. Nothing stands. Where do we ghosts go then - with nothing left to haunt?

Me no speakum Cherokee English.

The quality of mercy is not tomorrow and tomorrow and tomorrow.

Still - razor wire and spikes surround the crumbling tarmac as if this was a concentration camp. They burned my bridges behind me (didn't ask) and separated each of us - boy from girl, year by year, the bright from the dull, the technical from the creative. Terror: anger and anxiety and out of that a brutal cynicism - loss of God (for which I won the prize). Perhaps that was the intention all along. Corridors full of marching feet. Boy-sweat and testosterone.

Amamus, amatis, amant. Punishment beatings engender self-respect. A grove of erasures, errata, errant. O wandering one and Three little maids from school. (The boy-sopranos beaten in the bogs).

And yet, beside the stairs down which we fell, the native root-stocks of ornamental cherries (playground strewn with drifts of pink in May) demand to be tall again.

I turned up late. They punished us for turning up at all. But still we turned up - wondering. Sawdust and sulphur dioxide.

Ewes are sheep, sir.

Pardon?

Ewes are sheep.

Me no speakum Cherokee English.

The smell of the tawse. Again. The distant goalposts are all they felt worth saving. Filth and deep-rooted dampness. The sleazy smugness of a polystyrene cup. Sun through thick cloud like a piss-stained Eucharist.

John Bolland

Droga do poznania

Odgłosy dochodzące z oddali otaczają zmianę umysłu, która go przedstawia. Zmiany zmian w umyśle. A umysłem tego miejsca są chwasty i śmieci przenoszone przez wiatr oraz dowody zdziczałych dzieci. Kwestia nie na miejscu. Materiał.

Za wiaduktem, samoloty wciąż wciągają się w zachmurzone niebo i znikają. Brak śladu po gruzach. Nic nie zostało. Dokąd więc idziemy my, duchy - nie mając już czego nawiedzać?

Ja nie mówić angielskim czyrokeskim.

Jakością miłosierdzia nie jest jutro i jutro i jutro.

Nadal - drut kolczasty i kolce otaczają kruszący się asfalt, jak gdyby był to obóz koncentracyjny. Spalili za sobą moje mosty (nie pytali) i oddzielili każdego z nas - chłopca od dziewczyny, rok po roku, błyskotliwego od tępego, technicznego od twórczego. Terror: gniew i niepokój, a z tego brutalny cynizm - utrata Boga (za co wygrałem nagrodę). Być może taki był zamiar przez cały czas. Korytarze pełne maszerujących stóp. Chłopięcy pot i testosteron.

Amamus, amatis, amant. Karne bicie budzi szacunek do samego siebie. Raj dla niszczycieli, inaczej, błędzących. Samotniku! I trójko służek ze szkoły (sopranowi chłopcy pobici na bagnach).

A jednak przy schodach, z których spadliśmy, rodzime korzenie ozdobnych czereśni (plac zabaw zasypyany w maju różem) znów domagają się, aby wyrosnąć.

Przyszedłem spóźniony. Karali nas za to, że w ogóle się pojawiliśmy. Ale i tak przychodziliśmy, zastanawiając się. Trociny i dwutlenek siarki.

Ewes¹⁹ to owce, proszę pana

Słucham?

Ewes to owce

Ja nie mówić angielskim czyrokeskim.

Zapach rzemienia, znowu. Słupki bramek w oddali to wszystko, co uważali za warte ocalenia. Brud i głęboko zakorzeniona wilgoć. Obskurny styropianowy kubek dodaje otuchy. Słońce przedziera się przez gęstą chmurę jak zaplamiona moczem Eucharystia.

John Bolland

¹⁹ Ewe - owca, tłumaczenie według słownika PONS. W języku polskim nie występuje rozróżnienie na owcę żeńską i męską. Owca jest już płci żeńskiej.

Step by Step

We were welcomed with an abrupt wave of heat that assured us we had arrived at Bangkok. We stayed in what was called a 'boutique service apartment' to manage our budget. The place was called Ziniza; it had more than six floors with a humble restaurant located on the ground floor. The building was coloured with faded white and had two different entrances that looked similar to the entrance of an old Italian casino. The words ZINIZA and WELCOME were written in white on a dark-red background. Our room had a view of a bridge full of Tuk Tuks stacked next to each other.

I wanted to be away from that twin-bed hotel room. I had no interest in opening my travelling bags and arranging my clothes on the shelves. I stood in the middle of the room: no, I did not want to sit down. I got dressed in shorts with a shirt, I wore sport shoes. I felt a need to leave – to explore what was outside. I was going to have a long walk, to take pictures of the area, to grab a bite while I was outside, and to bring dinner on my way back.

"Where are you going?" my partner asked.

I said, "To get us dinner".

It was humid outside with no company. I walked under the sunset. I was walking in a narrowed street. There was a green river lined with bushes on my left side. I got closer to that river. I kept walking. I felt itchy. I scratched my legs. I worried that a bug might get under my clothes. I scratched my legs once more. I scratched my elbows as well. I thought of a bug biting my skin. I scratched the back of my neck. I scratched my head. I was sweating. The bugs were after me. The green swallowed me. I was lost.

My internet connection went down. I kept walking forward, hoping to see a store or a restaurant. I heard a rattle of movement behind me. I walked a little faster but the sound was getting closer. I froze and turned around and saw two brown dogs. I felt relieved that it was not a stalker until one of the dogs started to bark demanding to be heard. I turned my face away from them and saw a third white dog standing with his jaw opened and a white liquid dripping down from his mouth. In a second, all the three dogs were barking, creating a high-pitched echo. I was standing in the middle of a triangle made by street dogs. Their glassy eyes were fixed and they began to move slowly. To run was my first thought. I did not hear the dogs barking anymore and the sound of the Tuk Tuks above the bridge disappeared. My heart was pounding. I was breathing heavily.

As I ran, I took one more look at the dogs and saw a man waving at them with a tree-branch. He must have put a spell on that tree branch – scaring off the wild dogs so easily. The dogs hid behind the bushes that lined the river. I wiped my sweat from my forehead and headed back to the man to thank him. I walked with my chest puffed out and tried, embarrassed, to hide my bruised ego. I gave him a serious look to prepare myself to thank him for saving my life. The man was topless and wearing underwear that had spots of urine on it. He had sandals on his feet – not the typical look of a hero.

I said, “Thank you!” because pronouncing “ขอบคุณคุณ” was difficult.

He nodded, then left.

Esraa Husain

Krok po kroku

Powitała nas nagle fala upałów, utwierdziło nas w przekonaniu, że dotarliśmy do Bangkoku. Zatrzymaliśmy się w tzw. "butikowym apartamencie usługowym" aby rozsądnie zagospodarować budżet. Miejsce nazywało się Ziniza; miało ponad sześć pięter i skromną restaurację na parterze. Budynek był pomalowany na wyblakłą biel i miał dwa różne wejścia, które wyglądały podobnie jak wejścia do starego włoskiego kasyna. Słowa ZINIZA i WELCOME zostały napisane białym kolorem na ciemnoczerwonym tle. Z naszego pokoju roztaczał się widok na most pełen ustawionych obok siebie autorikszy.

Chciałem uciec z tego dwuosobowego pokoju hotelowego. Nie interesowało mnie otwieranie toreb podróżnych i układanie ubrań na półkach. Stałem na środku pokoju; nie, nie chciałem usiąść. Ubrałem się w szorty i koszulę, założyłem sportowe buty. Poczułem potrzebę wyjścia - zbadania tego, co jest na zewnątrz. Miałem zamiar pójść na długi spacer, porobić zdjęcia okolicy, coś przekąsić, i przynieść obiad w drodze powrotnej.

"Gdzie idziesz?" zapytał mój partner.

„Zdobyc nam obiad” - Powiedziałem:

Na dworze było wilgotno, nie miałam towarzystwa. Spacerowałam pod zachodem słońca. Szłam wąską ulicą. Po mojej lewej stronie znajdowała się zielona rzeka porośnięta krzakami. Podeszedłem do niej bliżej. Poszłam dalej. Czułem swędzenie. Martwiłam się, że pod moim ubraniem być może dostał się robak. Jeszcze raz podrapałam się po nogach. Podrapałam się też po łokciach. Myślałam o gryzącym moją skórę robaku. Podrapałem się po plecach, szyi. Podrapałem się po głowie. Pociłam się. Robaki mnie ścigały. Zieleni mnie połknęła. Byłam zgubiona.

Moje połączenie internetowe padło. Chodziłem dalej w nadziei, że zobaczę jakiś sklep lub restaurację. Usłyszałam za sobą grzechoczący ruch. Przyspieszyłam, ale dźwięk się przybliżał. Zamarłam, odwróciłam się i zobaczyłam dwa brązowe psy. Poczułem ulgę, że nie był to żaden napastnik, dopóki jeden z psów nie zaczął szczekać, domagając się wysłuchania. Odwróciłam od nich twarz by zobaczyć trzeciego białego psa stojącego z otwartą szczęką i białym płynem kapiącym mu z pyska. Po chwili wszystkie trzy psy szczekały tworząc piskliwe echo. Stałam w środku trójkąta utworzonego przez uliczne psy. Ich szkliste oczy były nieruchome a psy zaczęły się powoli poruszać. W pierwszej chwili pomyślałam o ucieczce. Nie słyszałem już szczekania psów, a odgłos autoriksz nad mostem zniknął. Moje serce waliło. Ciężko oddychałam.

Uciekając, jeszcze raz spojrzałem na psy i zobaczyłem mężczyznę machającego do nich gałęzią drzewa. Musiał chyba rzucić zakłęcie na nią zakłęcie, skoro tak łatwo je odstraszył dzięki psy. Psy pochowały się za krzakami rosnącymi wzdłuż rzeki. Wytarłam pot z czoła i wróciłam do mężczyzny, żeby mu podziękować. Szłam z nadętą piersią, zawstydzona próbując ukryć moje posiniaczone ego. Spojrzałem na niego poważnie, przygotowując się, by podziękować za uratowanie życia. Mężczyzna był do połowy rozebrany i miał na sobie bieliznę z plamami moczu. Na nogach sandały - nie był to typowy wygląd bohatera.

Powiedziałem, "Dziękuję!", bo wymówienie "၂၁၂၁၂၁၂၁" było zbyt trudne.

Kiwnął głową, a potem poszedł.

Esraa Husain

Anne Buckle

Objects you've lost

I used to have a tiny 4-channel harmonica that was so small you could hide it in the palm of your hand and play it so that no-one knew where the music was coming from. It was so small that now it's hiding from me!

I've lost more recorders than I ever owned: we were made to play them at school but I secretly enjoyed it.

I'm pretty sure I'm missing at least one box of music from our big move-in together last year. I can't quite put my finger on it but I keep feeling there are gaps where there used to be pieces I'd play.

I can't find any of the poetry I wrote during my 'purple patch' in my 20s but it must be around somewhere.

And I know I've lost all of the notes from my aborted PhD – thanks Mum and Dad; I told you to back it up when you borrowed it!

And all of the ideas those notes contained, gathered over years, are now probably gone forever.

All of my photos from that summer in Florida and the friends I made there - gone; the victim (I always assumed) of a rough baggage handler and an old 35mm camera with a loose back.

And Nanna's necklace, lost in the old Archibald but never rediscovered. If only I'd replaced that loose shank before it was too late. I have others that she left me but that one was particularly special.

All of the presents I've given Sadie over the years that have ended up at a boot-sale the very next weekend. And all of the possibilities I was trying to open up for her through them. I suppose those aren't lost to me but I feel their loss all the same.

Anne Buckle

Rzeczy, które zgubiłam

Miałam kiedyś maleńką czterokanałową harmonijkę, która była tak mała, że można było ją schować w dłoni i grać na niej tak, że nikt nie wiedział, skąd dochodzi muzyka. Była tak mała, że wciąż się przede mną gdzieś ukrywała!

Zgubiłam więcej fletów niż kiedykolwiek posiadałam: zmuszono nas do grania na nich w szkole, ale potajemnie mi się to podobało.

Jestem prawie pewna, że brakuje mi przynajmniej jednego pudła z muzyką z naszej wielkiej przeprowadzki w zeszłym roku. Głowy nie dam, ale wydaje mi się, że są w luki w miejscach, gdzie były kawałki, które kiedyś grywałam.

Nie mogę znaleźć żadnej z poezji, którą napisałam w moim „szczyście twórczości” w wieku dwudziestu lat, przecież muszą gdzieś być.

I wiem, że zgubiłam wszystkie notatki z przerwane go doktoratu – dzięki mamie i tacie: mówiłam wam, kiedy je pożyczaliście, żebyście zrobili zapasową kopię!

I te wszystkie pomysły, te zgromadzone przez lata notatki, teraz już prawdopodobnie stracone na zawsze.

Wszystkie moje zdjęcia z tego lata na Florydzie oraz zdjęcia znajomych, których tam poznałam, przepadły. Ofiara (tak założyłam) nieokrzesanego pracownika obsługi bagażu i starego 35 mm aparatu fotograficznego z luźną tylną klapą.

I naszyjnik Nanny, zagubiony w starym Archibaldzie, ale nigdy nie odnaleziony. Gdybym tylko wymieniła tę luźną końcówkę, zanim było za późno. Mam inne, które mi zostawiła, ale ten był szczególnie wyjątkowy.

Wszystkie prezenty, które przez lata dawałam Sadie, a które już w następny weekend lądowały na garażowej wyprzedaży. I wszystkie możliwości, które próbowałam jej otworzyć za ich pośrednictwem. W zasadzie tych rzeczy nie utraciłam osobiście, ale mimo wszystko czuję ich stratę.

Anne Buckle

Author Biographies

Aga Awtuch

I am philosopher, artist, art coach and writer. Creating and thinking out of the box is my passion. Writing is something I love to do and I have a lot of fun doing it.

John Bolland

John Bolland is a writer, poet, artist and musician living and working in the North East of Scotland. His writing, in Scots and English, is widely published in magazines and anthologies. His first poetry collection – *Fallen Stock* – was published by Red Squirrel Press in 2019. His forthcoming collection – *Pibroch* – explores parallels between the climate emergency & the Piper Alpha disaster in 1988.

Website: www.aviewfromthelonggrass.com.

Lorna Davie

Researching Family History, 50 something Scottish female Lorna Davie, was intrigued by two letters from 19th Century America that had been sent one of her ancestors. Those letters formed the basis for this, mainly fictionalised, account of emigrant Joseph's life.

Esraa Husain

Esraa Husain (pronouns indifferent) is a non-binary creative writer based in Scotland. Currently working on a PhD research in Black Scottish writing, migrancy, political agency and postcolonial context at the University of Glasgow. They are the founder of *UBelongGlasgow*.

Helen Lynch

Helen Lynch teaches literature and creative writing at the University of Aberdeen and plays in all-female ceilidh band *Danse McCabre*. Her short story collections are *The Elephant & the Polish Question* (2009) and *Tea for the Rent Boy* (2018).

Kasia Maicher

I am a writer, dancer, workshop leader, and socio-cultural animator. My major interest is facilitating and initiating art projects which could empower people and let them experience their own creative potential. In my practice I often combine voice, movement, dance, literature and visual arts.

<https://poemsandstones.wordpress.com/>

John G Robson

Started writing in my 60's. Engineering and gardening background. Enjoy the challenge, it's great fun.

Live in Aberdeenshire with my wife and rescued animals. Our children have all left home, providing us with beautiful grandchildren.

Beata Tschirch

Beata Tschirch is an engineer, a mindfulness teacher, a researcher into Mindfulness and Creativity at the University of Aberdeen and a counselling student. She contributed to the success of "What Country Friends, Is This?" as a co writer and researcher into Polish Community in Aberdeen. She commented on political and social matters for the BBC's Alternative Brexit Cabinet. She lives in Berlin where she facilitates mindfulness and compassion courses. Together with her Shut up and Write Berlin's writers group she hangs around in the darkest Kreuzberg's bars.

Anne Taylor

Born in South Shields, studied in Newcastle upon Tyne then Aberdeen. Postdoc research in Pennsylvania, Edinburgh and Aberdeen. Musician/ceilidh dance-caller, scientist, business systems manager, farmer, organic veg box business owner, environmentalist, cat and pet chicken slave, and occasional writer.

Pat Woods

Actor/ Teacher, Semi- Retired and enjoying new adventures!

Acknowledgements

The WORD Centre for Creative Writing, University of Aberdeen would like to acknowledge the enthusiastic support and collaboration of the many partners associated with the Elsewhere to Be project and, in particular, to the Elphinstone Institute and the Baillies of Bennachie who informed, inspired and hosted the many workshops and events.

Thanks also goes to Arts and Humanities Research Council (AHRC) whose funding supported the Enacting the Past: Stories from the Colony to the Tattras Project.

My thanks to Helen Lynch and Kasia Maicher who facilitated and encouraged the creativity of all the writers associated with the project over the course of 2018 and, especially, to Beata Tschirch who patiently and painstakingly translated the texts from English to Polish and from Polish to English.

I also greatly appreciate the help of Wai-Lum Sung in the final compositing of the anthology into the form you now hold in your hands.

John Bolland – Editor April 2021

